№ 16 Warszawa, dnia 10 (22) Kwietnia 1882 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

MARYA STUART

W HISTORYI I W LITERATURZE.

Napisał

ZORYAN.

Na zamku Fotheringhay smutna odbywała się uroczystość. Był to ósmy dzień lutego r. 1587. Kilkaset osób zapełnia salę, a wojsko królowej Elżbiety trzyma straż. Mały orszak służby otacza wspaniałą postać królowej, którą prowadzą na śmierć. Jeszcze kilka chwil, a głowa pięknej monarchini, jak głowa pospolitego zbrodniarza, spadła na stopnie rusztowania.

Tak skończyła królowa Szkocyi, Marya Stuart.

A dnia następnego szalał Londyn z radości na wieść o tej śmierci. Dziękczynne nabożeństwa, bankiety i festyny miały być wyrazem przywiązania do Elżbiety, której nieprzyjaciołka przestała już być groźną. Kiedy lud cieszy się z dokonanego czynu, królowa udaje — a udaje bardzo umiejętnie — smutek i żałobę. Wykonawców wyroku darzy niełaską, a kiedy w szaty jej żałobne jakoś niebardzo chcą wierzyć, sprawia uroczysty, wspaniały pogrzeb, w którym sama nie bierze udziału—dla królowej dość wysłać jedną, lub dwie damy dworu!

Tak działo się w kraju Maryi wrogim. Cóż robiono w Szkocyi?... Tam spłynęła może niejedna łza szczerego żalu i współczucia, niejedno lice przyoblekło się smutkiem, ale ogół cieszył się także, bo słyszał o śmierci królowej — katoliczki, bo co najważniejsza, spadł mu niby kamień z piersi: wyrzut sumienia za niezgodne odstąpienie sprawy swej królowej.

A kiedy o Szkocyi mowa, to nie godzi się zapomnieć, że na jej tronie siedział teraz Jakób VI, syn straconej królowej Maryi.

Syn po stracie matki udawał także żal i smutek, kazał także żałobne odprawiać nabożeństwo, na którem nawet sam był — ale udawać nie umiał tak zręcznie, jak Elżbieta, może dlatego, że mu nie pozwalały hulanki i swawole, milsze nad pamięć matki, milsze królowi nad przypomnienia losu nieszczęśliwej monarchini — losu, co nieraz sięgał po głowy królów brytyjskich.

Gdy tyle tylko żalu okazywał syn straconej, cóż dziwnego, że katolickie państwa Europy, wzburzone na chwilę, zaniechały zemsty i żyły dalej spokojne, troszcząc się chyba o własny byt.

Lat blizko trzysta upływa od tej chwili, a pamięć pięknej Maryi nie zaginęła, owszem, coraz więcej zajmuje umysły, zainteresowuje każdego, który dotknie się kart historyi. Stąd też tak wiele piór tej karcie dziejowej poświęcono; całe stosy monografii, rozpraw, materyałów gromadzą się od chwili zgonu Maryi Stuart, coraz to nowe podając źródła, coraz to nowe światło rzucając na ciemne dzieje Anglii i Szkocyi.

Przedmiot to istotnie bardzo zajmujący, pełen scen dramatycznych; to też nic dziwnego, że nawet pióra poetów tak znakomitych jak: Schiller i Słowacki podjęły go i blaskiem geniuszu opromieniły, otaczając tem samem postać Maryi aureolą bohaterstwa. Sądzimy, że nie będzie od rzeczy, zestawienie, choćby nawet szkicowe tylko, historyi Maryi Stuart z literackim poglądem na dwa poemata Słowackiego i Schillera. Jakkolwiek o jednym i tym samym przedmiocie traktują, rozchodzą się w wielu punktach, tworzą kontrasty, aby znów potem zespolić się w jakim rysie charakteru fenomenalnym, niezwykłym.

W historyi idziemy, obok innych badań, głównie za dziełem Arnolda Gaedekego, celującem sądem jasnym i bezstronnym, rozległością objętego materyału i umiejętnem zestawieniem tegoż w całość opracowaną systematycznie i pięknie.

Poemata Słowackiego i Schillera, jakkolwiek omawiane często, przedstawiają wiele jeszcze ciekawego materyału dla badań literacko-krytycznych; stąd, obok wielu rzeczy znanych, można natrafić na myśli nowe, bo wysnute z dzieł poetów, nieprzebranych sił twórczych.

I.

Marya Stuart przyszła na świat d. 8 grudnia 1542 roku w Linlithgow, a w pięć dni potem była już sierotą, bo straciła ojca, króla Szkocyi, Jakóba V.

Smutna to zapowiedź życia i niewesołe też ono było. Nad kolebką małej dziewczynki rozpoczęły się spory i zatargi, najpierw o regencyą w Szkocyi, którą przyznano James Hamiltonowi, a następnie o drobną jej rączkę, a może bardziej o królestwo. Pierwszym, proszącym o jej rękę, był król Anglii, Henryk VIII, dla swego syna; lecz że zarazem chciał objąć rządy kraju, że natychmiast chciał obsadzić twierdze Szkocyi, plan jego rozbił się i pomimo ugody w Greenwich (1 lipca 1543 r.) zerwano stosunki przyjazne, a w kilka miesięcy potem, bo 5 grudnia tegoż roku, zawarto ścisły związek z Francyą (w Edynburgu).

Dzień poprzyjaźnienia się z Francyą był dniem rozpoczęcia wojny z Anglią, wojny, która nawet po śmierci Henryka VIII trwała nieprzerwanie. Angielski oręż był szczęśliwy, tak szczęśliwy, że wkrótce ujrzała się Marya Guise, żona zmarłego króla Jakóba, z małą swą córeczką w niebezpieczeństwie życia. To wreszcie skłoniło Szkotów do przyjęcia planu królowej, mianowicie do oddania małej Maryi Stuart na wychowanie na dwór francuzki. Henryk II, król Francyi, spokrewnio-

ny z królową szkocką, przystał najchętniej na to życzenie, tembardziej, że postanowiono małżeństwo Maryi z następcą tronu francuzkiego. W roku 1548, 13 sierpnia wstąpiła sześcioletnia Marya na ziemię francuzką i rozpoczęła wychowanie na świetnym dworze Henryka II w St-Germain.

Maryą powierzono opiece Antoniny de Bourbon, jej babce, przyczem głównie kierował wychowaniem książę Karol, arcybiskup Reims, znany w historyi pod imieniem kardynała Lotaryngii. Ich to staraniom zawdzięczała Marya wykształcenie i rozwinięcie talentów. Marya była bogato od natury uposażona, tak pod względem piękna fizycznego, jako też i zdolności umysłowych. Nie trudno więc było uczyć dziecię takie. Pojmowała prędko, uczyła się łatwo, a w otwartej jej główce przyjmowało się wszystko pięknie.

Lecz pięknego tego materyału nie zużytkowano należycie, co więcej zwichnięto całe jej wychowanie i jeżeli gdzie szukać należy przyczyn jej błędów późniejszych, to właśnie tu w tej szkole życia młodzieńczego, kiedy wszystko odbija się z łatwością w wrażliwej duszy i kiedy wszystko, co dziecko otacza, zda mu się być wzorem, a jako wzór prowadzi do naśladowania błędów i do samodzielnych popycha zbrodni.

Marya Stuart, wychowana wśród innego otoczenia, mogłaby zostać najlepszą królową, wychowana na dworze francuzkim, stała się taką, jaką ją poznamy.

Dwór w St. Germain był piękny; przepych i zbytek zdobiły wszystko, acz tylko zewnętrznie. Świetne zabawy, bale i nieustająca wesołość pokrywały tysiączne niedostatki i nagość moralną. Na tronie Francyi zasiadał w roku 1547 Henryk II, zapamiętały miłośnik turniejów, najznakomitszy jeździec we Francyi, lecz jako król niedołężny, jako człowiek zupełnie moralnie upadły, rozpustnik. Za króla sprawowała rządy jego kochanka, księżna Diana de Poitiers, kobieta niezwykłej piękności, która dwadzieścia lat starszą będąc od króla, umiała go w swych sidłach utrzymać aż do zgonu. Stąd więc w polityce nieustanne intrygi i podstępy, w życiu dworskiem nierząd, swawola i lekkość, która zjednała tak głośne imię dworom francuzkim. Tysiąc miłostek było na porządku dziennym, a artyści i poeci, których wielu zawsze na dworze bawiło, dopomagali tym zabawom pędzlem, śpiewem i słowami.

Takim był dwór w St. Germain—szkoła, w której się wychowywała Marya Stuart. Nic dziwnego, że w takiej szkole urobił się charakter spaczony, a właściwiej nie mógł się urobić wcale. Wśród takiego otoczenia wzrosła Marya z chęcią używania, z przywiązaniem się do pięknej powierzchowności, nie pytając, co jest we wnętrzu, a nadewszystko wyrobiła sobie nader elastyczne sumienie i niezwykłą tolerancyą dla miłostek. I trudno było inaczej; młodej królowej schlebiali wszyscy, a że powietrze dworskie przepełnione było miłostkami, nieraz więc dwulicowe, gładkie słówko płynęło pieśnią, rymem, czy też pięknie trefioną prozą do ucha nadobnej królowej. Z tem wszystkiem przecież łączy się ściśle najgłówniejszy rys charakteru Maryi, mianowicie głośna jej dobroć i słodycz w obejściu się. Czy to z przyrodzonej dobroci, czy też z owej, aż pieszczotliwej grzeczności, powszechnej na dworze francuzkim — a najpewniej oba czynniki razem się na to złożyły — była Marya dla wszystkich niezmiernie ujmującą i grzeczną. Dar to był, jak na królową, bardzo ważny i rzadki — ale niestety, nie pielęgnowany rozumnie, bez zasad moralnych, bez siły charakteru i majestatu królewskiego, wybujał nadmiernie, a rugując resztki moralną wartość mających zasad, wyrugował później nawet godność kobiecą i — pociągnął Maryą w przepaść.

(D. c. n.)

Nie dziwcie się!

Wy mnie zawsze pytacie, o serdeczni moi,
Czemu tak smutna struna dźwięczy w mym sonecie,
Jak gdybym, pośród ciągłych walk i niepokoi
Nigdy uśmiechu szczęścia nie znała na świecie?

O! ja znam jasne chwile; wy najlepiej wiecie,
Że ten kwiat zawsze świeży co mą duszę stroi,
Nie zwiędnie w skwarne lato, burzy się nie boi,
Ani go w późną jesień wicher nie zamiecie.

A więc — przedwcześnie zwiędłe gdy opiewam [kwiatki,
Gdy w pieśni mej się żali zranionych serc bieda,
Nie sądźcie, by w niej drgały mych uczuć ostatki;

Bo ta struna żałosna, to sieroca scheda,
Po raz pierwszy nad grobem zadźwięczała matki,
I odtąd na ton inny nastroić się nie da.

Emilia.

Radoszewice.

NA MORZU.

NOWELLA

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

XI.

Jeszcze z po za Lido nie wychylała się biała tarcza księżyca, gdy akredytowany *Luny*, gondolier Matteo, przybił z gondolą do granitowych schodów hotelu.

Matteo był dzisiaj w jakiemś roztargnieniu. Patrzał na kolumnę portyku oblepioną afiszami a w jego czarnych oczach błyskała wtedy jakaś dzika żądza. Chciał tę żądzę widocznie zwalczyć, obracał się do portyku plecyma i próbował piosenki gondolierskiej, ale piosenka powoli zmieniała jakoś melodyą i stawała się coraz podobniejszą do kupletu jednej z wesołych operetek. Matteo zwracał się wtedy znowu do portyku a na jego poważnej twarzy malowała się wybitnie jakaś walka wewnętrzna.

W samej rzeczy odbył on teraz wielką walkę. Na portyku był olbrzymi afisz z napisem: *Girofle-Girofla*. Była to ulubiona operetka muzykalnego gondoliera. Zarobił dzisiaj całego franka, a pieniądz taki w ręku gondoliera to skarb nieprzebrany. Połowa tej monety wystarcza mu na obiad Lukulusowy, a za drugą połowę uzyska *ingresso* do teatru Malibran albo Rossini. Na taką biesiadę stać go dzisiaj, dlaczegoż jej sobie odmawiać? Przeklęty portyer Luny! poco właśnie dzisiaj zamówił go na cały wieczór dla forestierek!... Można nie zważać na to... ale kilka lirów nie zawadzi przecież!... *Diavolo*! czemuż te forestierki innego wieczoru nie wybrały sobie? *Girofle-Girofla!* Pyszna opera, jakiej drugiej nie ma na świecie! Za pół liry biesiadowałby do północy!

Takie były myśli ludowego melomana, tak wielką była walka między ulubioną operetką a spodziewanemi lirami.

Jeszcze Matteo nie zdecydował się, jeszcze oczy jego błądziły między filarem portyku a drzwiami hotelu, gdy nagle jakaś wysoka postać zbliżyła się do niego.

— Matteo — rzekła koturnowa postać do niego — czy nie chciałbyś pięć lirów zarobić bez pracy?

Pięć lirów to niesłychany zarobek gondoliera, a pięć lirów bez pracy, to jest bez poruszenia wiosłem, to już istny sen, sen złoty, o jakich tylko można czytać w *Tysiącu i jednej nocy*!

Spojrzał ciekawie na nieznajomego dobroczyńcę... Było już ciemno, księżyc jeszcze nie zeszedł. Twarzy jego nie mógł dojrzeć, widział tylko, że miał na sobie jakąś długą odzież, która aż do ziemi sięgała.

Dziwne myśli strzeliły mu po głowie.

— Powiedz obywatelu — ozwał się roztropny Matteo — co znaczą te słowa, bo ich nic a nic nie rozumiem.

— Rzecz prosta — odpowiedział nieznajomy dźwięcznym barytonem — oddasz mi dzisiaj twoją gondolę i to stanowisko zamówione.

— Czy spodziewasz się znacznego zarobku?

— Więcej nie jak pięć lirów, ale mam interes do OO. Kamedułów na wyspie św. Michała.

Matteo zaczął rzecz rozważać. Gondoli nikt nie ukradnie, bo jej nigdzie nie schowa, a pięć lirów wziąć do kieszeni i pójść na operetkę, to byłaby dopiero biesiada!

— *Signore*, powtórz mi jeszcze raz twoją propozycyą — zawołał po chwili — oglądając starannie nieznajomego.

Nieznajomy mówił tak jasno i wyraźnie, taka prostota była w całem jego obejściu, że Matteo postanowił ostatecznie przyjąć tak świetną nadzieję zarobku.

— Czy masz drugie wiosło? — zapytał nieznajomy.

— A na cóż ci drugiego wiosła obywatelu?

— Może nadejdzie mój brat, będzie nam śmielej w nocy na morzu.

Matteo wydobył z ukrycia drugie wiosło i wręczył je nieznajomemu jako dokument czasowej posesyi gondoli Uścisnąwszy podaną rękę, życzył mu szczęśliwej podróży do nieboszczyków, a sam najprostszą drogą podążył do odległej nieco świątyni sztuki.

XII.

Z poza Lido, z głębi morza wychylił się teraz księżyc blady. Kościół San Giorggio obalał się na wodę długim cieniem, dotykając prawie murów Dogany, aby tym sposobem ułatwić przemytnikom wywóz towarów nieopłaconych. Lekki wschodni wietrzyk poruszał Fortunę na gałce Dogany, która wyjątkowo dzisiaj nawet jak zwykle nie skrzypiała.

Z drzwi Luny wyszły teraz dwie kobiety.

— Cudowny wieczór — ozwała się starsza — tak pięknie jeszcze nigdy księżyc nie świecił! Podaj mi rękę Adelo.

Adela miała na sobie płaszczyk podróżny, który uroczo uwydatniał całą jej wiotką postać. Na złotych włosach nie było kapelusza, tylko czarna

koronkowa chustka wenecka. Obie kobiety szparkim krokiem zbiegły po schodach, przy których czekała na nie zamówiona gondola.

— Czy ta gondola zamówiona do San Michaelo? — zapytała Adela po włosku.

— *Si Signora!* — odpowiedział wysoki gondolier.

— Jest was dwóch?

— *Si Signora!* dla lepszej pewności, bo wycieczka dalsza.

Jakiś nieokreślony uśmiech igrał po twarzy Adeli.

— Podaj mi rękę przyjacielu — rzekła, wychylając mały bucik z pod płaszczyka.

Wysoki gondolier zbliżył się z ręką.

— Nie ty przyjacielu — jesteś za wysoki — na tamtym niższym lepiej się oprzéć.

Drugi gondolier był rzeczywiście niższy. Stał on w głębi gondoli z wiosłem w ręku, Dopiero żywa gestykulacya towarzysza objaśniła mu, czego od niego żądano.

Zbliżył się na przód gondoli. Adela oparła się silnie na jego ramieniu.

— Czemuż nie stoisz spokojnie przyjacielu — rzekła z uśmiechem — mogę upaść do morza.

Gondolier nic na to nie odpowiedział, a Adela skoczyła tymczasem szybko jak sarna do gondoli i zajęła miejsce na czarnej kanapce. Gondola dzisiaj nie miała budki. Za chwilę ozwał się plusk dwóch wioseł a wysmukła gondola odbiła szybko od granitowych brzegów miasta.

Płynęli niejaki czas w milczeniu, minęli pałac królewski i Piazettę z dwiema olbrzymiemi kolumnami, jedną z dumnym lwem św. Marka, godłem Wenecyi, drugą z posągiem św. Teodora patrona marynarzy. Płynęli dalej po pod most „westchnień", który jak czarna zmora wisiał czas niejaki nad ich głowami, i płynęli dalej wązkim kanałem śród murów trzypiętrowych i wież kościelnych, które jak straż wysunięta zdawały się zamykać drogę podróżnym...

Wreszcie okazało się otwarte morze a mury miasta znikły za niemi. Obaj gondolierzy zaczęli wolniej poruszać wiosłami a po gładkiej powierzchni morza sunęła się wysmukła gondola tak spokojnie i tak cicho, jak łabędź po cichych wodach polskiego stawu.

— O czem tak myślisz? — zapytała pani Izabela.

— O dzisiejszym liście — odpowiedziała Adela — który nam przyniósł tak dziwne wiadomości z naszego powiatu.

— Czy cię to tak bardzo zajmuje?

— Nie koniecznie. Czy się jeden kawaler więcej ożeni lub nie, to jest dla mnie rzeczą obojętną!

— Niewierzę, aby pan Władysław...

— Pan Władysław nigdy na seryo o mnie nie myślał! Przyjeżdżał sobie ot tak dla zabicia czasu, a gdy czasem kilka wybitniejszych frazesów wymówił, to przecież do takich frazesów żadnej wagi przypisywać nie można! Taki jak wszyscy.

Gondola zadrgnęła tutaj, jakby przebyć musiała jakąś skałę podwodną.

— Co do pana Władysława — ozwała się pani Izabella...

— Daj już ciocia pokój — przerwała Adela szybko — bo ja wiem, co ciocia chce powiedzieć. Jeżeli o jakim człowieku obiegają wieści, to w tych wieściach przynajmniej połowa jest prawdy!

— Jak ty wierzysz plotkom!

— Czyż to są plotki, jeżeli ktoś powie, że naprzykład pan Władysław jeździł za posażną panną Różą do Lwowa i tam się nawet jej oświadczał bez skutku... że umyślnie na wystawę bydła pojechał, aby tam przy tej sposobności poznać pannę Julią, o której mówią, że ma w posagu jeden pałac i dwa dwory?

Gondola drgnęła znowu tutaj, a nawet groziła bieg swój zmienić. Wysoki gondolier skierował ją znowu stalowym grzebieniem do majaczącej w dali wyspy św. Michała.

— Nie trzeba o ludziach źle sądzić bez przekonania się — ozwała się pani Izabela.

— Czyż to jest co złego — odpowiedziała Adela — jeżeli ktoś woli zrobić interes lepszy niż gorszy?

Znowu zakołysała się gondola.

— Jakoś niezręczni jesteście—zagadnęła Adela wysokiego gondoliera.

— Mój brat nie jest jeszcze wprawny — odparł gondolier.

— Mnie się zdaje — mówiła dalej pani Izabela — że pan Władysław miał szczere względem ciebie zamiary, nie znalazł jednak u ciebie odpowiedniej skłonności.

— Co też ciocia mówi — odcięła się Adela — ręczę cioci, że pan Władysław ot tak tylko lawirował. Gdyby intencye jego były prawdziwe, gdyby serce jego prawdziwie było do mnie uderzyło, to serce kobiety usłyszałoby to i odpowiedziało wzajemnie. Moje serce nic mi nie mówiło, bo nikt do niego nie przemówił!

— Ja sądzę, że pan Władysław dlatego nie przemówił, że wobec twego zachowania się nie miał odwagi do tego.

— Jakto? czyż panna sama ma mężczyźnie robić awanse? Wolałabym zamknąć w sercu mem na zawsze tajemnicę uczucia i z nią położyć się do grobu!

Gondola usiłowała znowu tutaj zwrócić bieg ku zachodowi, wysoki gondolier skierował ją znowu ku wyspie.

— Pan Władysław — mówiła dalej w rozdrażnieniu Adela — zapewne, a może już nawet pannę Agatę poślubił, jak to nam przed miesiącem donoszono!... Przyznam się, że żałuję teraz, iż nie przyjęłam ręki owego markiza, który cioci przypadał do gustu!

Gondola wahała się coraz więcej, czemu winną była niewprawna ręka drugiego gondoliera.

Nagle zatrzymała się. Za nią znikły już doreszty kościoły i wieżyce miasta, w koło nie było już nic widać, tylko wodę i wodę posrebrzaną srebrnem światłem księżyca, tylko tam w dalekiej perspektywie czerniły się w błędnych zarysach mury jakiegoś kościoła... To kościoł zakonników pogrzebowych — to wyspa św. Michała!

Od strony Wenecyi rozległ się teraz strzał armatni. Błądząc po lagunach, odbijał się o kościoły i pałace, wracał się i znowu szedł naprzód, aż wreszcie ponurym grzmotem skonał gdzieś na dalekich brzegach morza.

Był to zwykły sygnał zamknięcia portu, a dla marynarzy znak udania się na spoczynek.

Adela znała ten strzał, bo codziennie słyszała go w swoim hotelu. Tutaj jednak wśród nocy, na pełnem morzu, sprawiał wrażenie dziwne. Zdawało się, że odbijał się aż o groby nieboszczyków, że katakumby pogrzebowej wyspy odpowiedziały stugłosowem echem, żaląc się, że przerywano wieczny ich spokój.

Z pewnym niepokojem obejrzała się Adela, a niepokój jej zdawał się wzrastać, gdy spostrzegła, że gondola nagle stanęła jakby na kotwicy...

Chciała właśnie zapytać o przyczynę tego wypoczynku wysokiego gondoliera i w tym celu twarz ku niemu zwróciła, gdy nagle zamiast gondoliera obaczyła przed sobą wysmukłego mężczyznę w kurtce aksamitnej. Gondolierska odzież jego leżała na podłodze, jak poczwarka gąsienicy, która się już w motyla zamieniła.

— Pani, zawołał nieznajomy niezłą francuczyzną, przebacz pani nieznajomemu, jeżeli poważył się w niewłaściwym czasie użyć praw maskarady! Silne, gorące uczucie skłoniło mnie do tego a resztę złóż pani na karb mojej ekscentryczności. Nie lubię być człowiekiem powszednim i nigdy nie chodziłem powszedniemi drogami!...

Dziwna ta metamorfoza sprawiła na kobietach tak silne wrażenie, że nie wiedziały co robić i co poetycznemu gondolierowi odpowiedzieć. Zresztą nie był to już gondolier pospolity, bo sam się przyznał do maskarady. Drugi zaś był widocznie z nim w zmowie, bo nietylko nie zadziwiła go ta maskarada, ale przeciwnie chciał jej dopomódz przestając robić wiosłem.

Spostrzegła to Adela i to uspokoiło ją. Nieznaczny uśmiech przebiegł po jej twarzy.

Trudniejsza była sprawa z panią Izabelą. Była ona pewną, że padną ofiarą piratów morskich i zamknęła oczy, aby nie widzieć sztyletu, który miał w jej serce ugodzić... Adela ścisnęła ją za rękę.

— Nie bój się ciociu! szepnęła jej do ucha: to... dobry... znajomy!

Pani Izabela otworzyła oczy. Nieznajomy stał przed niemi w postawie patetycznej, jedną rękę trzymał na sercu a drugą sięgał do księżyca, jakby go chciał zdjąć z nieba i w dani złożyć u nóg królowej swego serca.

— Jestem markiz Cadoro, mówił głosem podniesionym, trzydziesty z kolei potomek tego antenata, który sławny pałac tegoż nazwiska zbudował. Między mymi przodkami liczę dożów weneckich, z których jeden przywiózł z Egiptu ciało św. Ewangielisty Marka, drugi zdobył Bizantium i zabrał z niego owe konie śpiżowe, a przed trzecim ukorzył się monarcha duchowny, jak to na obrazie w pałacu doży widzieć można... Wszystkie te zaszczyty, wszystkie skarby, jakiemi dzisiaj rozporządzam, składam u nóg twych piękna blondynko, jakiej żadna włoska ziemia nie wydała!...

Pani Izabela przyszła już teraz do siebie. Scena korsarska zamieniła się w spokojną scenę romantyczną. Ponieważ jednak żywe giesta markiza równowadze gondoli zagrażały, szepnęła pani Izabela do ucha Adeli po polsku:

— Zlituj się... powiedz mu niech usiądzie, bo nas z kretesem wraz z swymi przodkami do morza wyrzuci.

— Usiądź pan, panie markizie — rzekła z czarującym uśmiechem Adela, podsuwając mu niski taborecik.

Markiz usiadł.

— Biorę tę łaskę za zadatek jeszcze większej, ozwał się z ukłonem do pani Izabeli.

Markiz sięgnął w tej chwili po chustkę do nosa, ale nie znalazł jej. Posunął więc szeroką rękę po twarzy i odparł z galanteryą arystokraty:

— Mortadella nasza ma także wiele pieprzu w sobie, a jednak jest tak smaczną! Trochę przestrachu nie zawadzi, jeżeli po nim ma nastąpić przyjemność niemała!

— Jak pan to pięknie powiedziałeś, markizie, odparła pani Izabela!

— Może też również łaskawie odpowie mi ja-

snowłosa towarzyszka pani — odrzekł markiz, zwracając spojrzenie na Adelę.

Adela patrzyła na markiza z pewnym figlarnym uśmiechem, który wcale nie odpowiadał dramatycznej sytuacyi, w jakiej się wszyscy wśród nocy na morzu znajdowali. Markiz szukał tymczasem napróżno w swojej kurcie aksamitnej. Był to mężczyzna w średnim wieku i twarzy dosyć przyjemnej.

— Nie weźmiesz mi za złe markizie — ozwała się Adela — jeżeli po tak nagłej zmianie dekoracyi nie mogę jeszcze przyjść do siebie i dać ci stosowną odpowiedź. Powiem jednak z góry, że wyborną obrałeś drogę markizie do serc kobiecych, które wszystko to pociąga, co tajemnicze i niezwykłe!... Czuję już jakiś dreszcz przyjemny.

— Pani—odparł markiz, szukając ciągle chustki — pani... pani...

— Widzę, że pan sam ulegasz temu samemu wrażeniu.

— Przyznam się, że wrażenie jest tak silne... osobliwie w bliskości tej białej rączki... tej falującej piersi...

— Mówiłeś markizie, że lubisz tylko niezwykłość, a ja jestem bardzo zwykłą kobietą!

— Powszednie kobiety są najlepsze — odparł z kurtozyą markiz, zapomniawszy o tem, co pierwej mówił — ja lubię bardzo powszednie kobiety!

— Jesteś nieoceniony, markizie... możesz się tak łatwo nagiąć do upodobania innych.

— Jak rękawiczka do palców!

— Cóż on takiego mówi — szepnęła pani Izabela po polsku do uszka Adeli.

— To nic — odparła Adela — leży to w charakterze Włochów, że są swobodni w rozmowie.

Bardzo ładnie pan powiedziałeś — rzekła do markiza, *j'aime beaucoup ce degagement!*

— Uczucia nie znoszą żadnych więzów!

— *Parfaitement!*

— To też pozwól pani, że się zbliżę do tej białej rączki, która w świetle księżyca wygląda, jak ulana ze srebra.

— *Pardon, monsieur le marquis* — my z północnej strefy jesteśmy przyzwyczajone, że pierwej zbliża się mężczyzna do naszego serca...

— Wszak powiedziałem już, że panią kocham nad życie!

— To jeszcze nie dosyć!

— Że pragnę, abyś pani została moją żoną.

— To znowu za wiele!

— Moją... narzeczoną...

— To może za nagle.

— Jakoś mi się nie podobał — szepnęła znowu pani Izabela.

— Chętnie przyjęłabym jego ofiarę, aby już raz skończyć.

— Mówisz, jakby ci żal było pana Władysława, który ci się przeniewierzył!

Zamiast odpowiedzieć, podparła Adela twarz drobną rączką i spojrzała w białą tarczę księżyca. Była w tej chwili zachwycającą. Ukośne promienie księżyca przedłużyły jej rysy i nadały im wyraz ostrzejszy. Jej uśmiech wydawał się teraz boleścią a w żywych oczach malowała się jakaś tęsknota za tem, o czem marzyła, a co już dzisiaj było dla niej stracone...

— Nie będziesz pani tak okrutną — rzekł teraz w zachwyceniu markiz — i pozwolisz ucałować te białe paluszki swoje...

Tu chciał przyklęknąć i już rękę wyciągnął po duńską rękawiczkę Adeli — gdy drugi gondolier nagle wiosłem gwałtownie poruszył.

Gondola skręciła się, a markiz stracił równowagę. Machnął kilka razy jak wiatrak rękami... i znikł z gondoli...

Szumiąca fala morza zakipiała szeroko.

(D. n.)

Z PAMIĘTNIKÓW
Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora

(Dalszy ciąg.)

Pradziadek Fruktus mieszkał we wsi swojej Korotkinowie, od nas o mil kilkanaście, a że sam, dla wieku podeszłego, mało z domu wyjeżdżał — ztąd nic dziwnego, że z tak dalekimi, jak my, krewnymi, widywał się rzadko.

Mówiono, że dwa razy tylko w roku na dni kilka dom opuszczał i to jedynie w lecie: w czerwcu na kontrakty do Mińska i na początku września do Andzina — na imieniny swej sąsiadki i wielkiej przyjaciółki, pani podkomorzynej Miałczyńskiej, o której mi jeszcze może kiedy wspomnieć wypadnie. Wiedziano o tem w okolicy bliższej, a nawet dalszej, tak że kto chciał widzieć lub usłyszeć patryarchę powiatu, ba nawet całego województwa (bo nawet p. Pius Tyszkiewicz z Łohojska był znacznie młodszym), ten śpieszył do jednego z dwu miejsc wymienionych, w znanych już terminach. Sam bowiem pan Fruktus rzadko przyjmował gości w domu i odwiedzali go tylko krewni i bliżsi, najczęściej na własne pradziadka zaproszenie, co było wielką łaską.

Takie właśnie zaproszenie odebrała matka nasza w sierpniu 184* roku, gdy wybierała się na czasowe mieszkanie do Słucka, ażeby nas tam umieścić w słynnych podówczas szkołach słuckich. Droga nie prowadziła wprawdzie na Korotkinowo, ale zboczenie było nieznaczne i postanowiono skorzystać z zaprosin pradziadka i nas dzieci jemu pokazać. Myśmy cieszyli się serdecznie z tego raczej, że *nam* dziadka Fruktusa pokażą i pewną trwogę mimowolną przed czekającą nas szkołą zastąpiła chwilowo na drugi plan ją usuwając, radość z bliskiego poznania pradziadka i jego Korotkinowa.

Nadszedł nakoniec dzień odjazdu. Sprzęty na kilku podwodach i służba była już w wilią tego dnia wysłana naprzód do Słucka, do wynajętego zawczasu mieszkania. Czas był prześliczny, ciepły i pogodny; w powietrzu unosiła się woń dziwna, właściwa schyłkowi lata, porze owoców i żniwa, potroszę zaś może właściwa krajowi rodzinnemu i ukochanym miejscom, gdzie upłynęło błogie dzieciństwo. Takiej woni nie znajdujemy już później nigdzie, jak przynajmniej świadczy wspomnienie, pewna niewątpliwie istniejąca pamięć węchu, jak istnieje pamięć innych także wrażeń zmysłowych.

Nie nadługo opuszczaliśmy wieś, bo na rok tylko niespełna, mając nadzieję przyjechać do domu na czas wakacyi letnich; nadto była to pora, gdy wszelkie letnie przyjemności dziecięce zostały już zaspokojone, gdy powaby wsi dla tego wieku ustawały. Jagody już przeszły, czereśnie zjedzono, kąpiele, z powodu zamulenia stawu, stały się niemożliwemi, sianokos i żniwa, które dawały powód nam dzieciom do tysiącznych zabaw i figlów pod pozorem uczestnictwa, były już także ukończone, małgorzatki i inne gruszki wcześniejsze skonsumowane. Co do innych owoców, sad nasz nie posiadał wielu dobrych gatunków; śliwek nie doczekaliśmy się długo, a gruszki i jabłka zimowe i tak w swoim czasie przyjdą do nas do Słucka, w postaci suszonej albo smażonej, jako konfitury lub wyborny „ser jabłeczny". Szkoda nam tylko było orzechów, które teraz dopiero się rozpoczynały, a mnie najwięcej... maku, który dojrzewał i który pasyami lubiłem świeży, sam zrywając makówki, chociaż ostrzegano mnie, że ten przysmak sprowadza sen i ospałość, gdyż z maku robi się opium.

A jednak, chociaż nie nadługo, żegnaliśmy z żalem miejsce, gdzieśmy urodzili się i wzrośli. Żal było nietylko orzechów i maku, ale i poczciwej babuni i starego ekonoma Bysławskiego, który nam wiele ciekawych rzeczy opowiadał, i Jana i Kazimierka i Pawłowej i Herminki, wreszcie i Lutni i Brytana i Szpaczka i Migdałki; ostatnia para były to kucyk i klaczka, a Lutnia i Brytan — pieski podwórzowe. Żal było także i kątów i miejscowości i przedmiotów nieżyjących, gdyż do tego wszystkiego czułe serce dziecięce przywiązuje się żywo, częstokroć namiętnie, jakby do istot żywych lub do rodzeństwa. Już wsiadano do „koczobryka", na którego koźle widać było poczciwą twarz furmana Antoniego, a myśmy jeszcze obiegali pokoje, żegnając się ze ścianami, z piecami i drzwiami i z pozostałemi jeszcze sprzętami. Edmuś całował kafle pieca, a Malwinka umocowała w oknie kilka kwiatków, błagając Pawłową, ażeby ich nie ruszono aż do wakacyi, choćby uschły i zawiędły. Oleś uściskał jeszcze serdecznie stojącego w ganku, wraz ze wszystkiemi domownikami, Bysławskiego i zawisł na szyi Pawłowej, ja zaś, w towarzystwie Lutni i Brytana, które, snać także rozumiejąc chwilę pożegnania wsuwały mi ciągle z obu stron pod ramię olbrzymie swe łby żółtawe, obiegłem jeszcze „dom stary" i wpadłem do ogrodu, również starego. Rzuciłem okiem na huśtawkę, która była polem pierwszych naszych prób w tym kierunku, a że, pomimo najszczerszej ochoty, nie było już czasu na skosztowanie raz jeszcze tej rozrywki, zwróciłem się do starej olbrzymiej gruszy, którą uważaliśmy wszyscy niejako za przedstawicielkę całego sadu, ażeby go w niej pożegnać. Dokonałem tego solennie, objąwszy omszały i popękany pień rękami i wypowiedziawszy pożegnalną mówkę. Była to zaś grusza nielada: gałęzie jej sięgały do okna sypialni babuni, a w lecie — nawet do samego pokoju, gdyż wtedy okno było ciągle otwarte i przy otwartem sypiała babunia, pomimo że przy łóżku stała ciężka dębowa, okuta żelazem szkatułka, prawie zawsze srebrnych rubli pełna. Nie słyszano jeszcze wtedy o złodziejach na każdym kroku: inne były czasy. Owoce tej gruszy, zawsze jeszcze obfite, były to olbrzymie gruszki zimowe, które w listopadzie i grudniu zjadało się ze smakiem, nawet na surowo. Do tego drzewa było nawet przywiązane podanie, że pod niem lub koło niego dawniejszy dzierżawca (wieś była Radziwiłłowska) zakopał w 1812 roku duży kocioł miedziany z pieniędzmi i kosztownościami. Powiadano, że jeden z administratorów zarządu w Radziwilmontach kazał szukać przed laty tego skarbu, ale bezskutecznie; potem zaś poszukiwań zaniechano, i skarb ten może tam jeszcze dotąd spoczywa...

Z ogrodu wypadłem na przyległy pagórek,

gdzie odosobniony (zapewne dla bezpieczeństwa od pożaru) stał tok czyli stodoła, na Litwie *gumnem* zwana; rzuciłem pożegnalne spojrzenie na dwa stogi siana, do których składania dopomagałem, na studnię z sędziwym żórawiem, na najbliższe z krańca chaty wiejskie Naliwajki i Dziemiana, a wróciwszy na podwórze, pożegnałem wzrokiem staw i kamień, na którym siadywałem, tłukąc orzechy i ścigając wzrokiem siniejące w oddali laski Hulicz i Starzyny z jednej, a pola bitwy 1506 roku z drugiej strony. Nakoniec przebiegłszy po raz ostatni ciągnący się po za domem ogród warzywny, uszczknąłem jeszcze parę wysychających już maków, musiałem śpieszyć na wołanie rodzeństwa, aby wsiadać do koczobryka. Tu jeszcze na ganku pożegnaliśmy babunię i domowników. Każdy z nas, dzieci, dostał od babuni po rublu srebrnym na łakocie, wraz z obietnicą, że jeśli będziemy grzeczne i pilne, to przyśle nam sławnych pierników nieświeżkich z niedalekiego już jarmarku świętomichalskiego. Były to wyborne koniki, koguciki i panny, częstokroć bogato złocone, smaku przedziwnego, będące dla nas dotykalnem wcieleniem i najmilszą pamiątką słynnego niegdyś na całą Litwę jarmarku na św. Michał w Nieświeżu. Dziś już podobno i jarmarków takich nie ma i pierniki nie takie.

Nakoniec, przeżegnawszy się wszyscy, nie wyjmując furmana Antoniego i żegnani krzyżykiem przez babunię i wszystkich stojących na ganku domowników (taki już był wtedy zwyczaj) ruszyliśmy w drogę.

Żniwa były na schyłku i gdzieniegdzie jeszcze przy drodze złotemi kłosami „kłaniały się żyta”, jak mówi Słowacki, gęsto zasiane bławatkami, jaśniejącemi niby turkusy śród klejnotów z matowego złota. Żegnałem na rok cały i starą wierzbę przy drodze i pola i drzewami ocieniony poblizki cmentarz żydowski. W miasteczku nie zatrzymaliśmy się długo: staliśmy tylko z pół godziny przed karczmą Chackelowej, elegancko pomalowaną na różowo z ogromną białą „stodołą” (stajnią) i z oplecionym chrustem przysionkiem, który dziwnie odbijał od pretensyonalnych rzeźbionych i na czerwono malowanych okienic. Załatwiono tam jakieś, mało nas dzieci obchodzące, interesa z Chackielową, która wyszła w olbrzymim zawoju z czerwonej chustki na głowie, z „bindą” naszywaną perłami na szyi. Obyczajem małych miasteczek, ujrzawszy powóz sobie znany, zbiegli się zaraz, witać lub ofiarować swe usługi, wszyscy nasi izraelscy dostawcy, przedsiębiercy i rzemieślnicy: był tu więc poważny „kupiec” Wulf z długą czarną brodą, chudy krawiec Josiel, którego już nos, według naszych dziecinnych spostrzeżeń, przypominał nożyczki, dalej śmiejący się zawsze faktor czyli, jak wtedy na Litwie mówiono „mekler”, bo tylko do „lepszych rzeczy”, wreszcie totumfacka wiejska, wysoka staruszka Fejga, o sympatycznej twarzy i z pewną ogładą w mowie i ruchach, nakoniec syn głównego „galanternika” miejscowego, przez nas dzieci nazwany „Pałęfłołę”. Przezwisko to zawdzięczał następującej okoliczności. Przychodził on nieraz do nas z obrazkami, pomiędzy którerni były ładne obrazki świętych z jakiejś masy czerwonej (z kleju?), kurczące się od ciepła, i szczególniej modne po roku 1841 (sprowadzenia zwłok Napoleona I z wyspy św. Heleny do Paryża) portreciki tego cesarza w ramkach cynowych, uwieńczonych takąż koroną. Znaleźć je było można w owych czasach w każdym dworze i w każdym domku szlacheckim; zdawałoby się istotnie, że oprócz dość świeżych jeszcze wspomnień dziejowych i zawiedzionych nadziei i złudzeń, bohater wieku zawdzięczał swoją u nas pośmiertną popularność swemu smutnemu losowi; zwyciężony wygnaniec obudzał litość w sercach naszego narodu, litościwych zawsze dla zwyciężonych, według orzeczenia poety „victrix causa diis placuit, sed victa Catoni” (strona zwycięzka podobała się bogom, strona zaś zwyciężona — Katonowi). Otóż takie obrazki były tanie i wartość każdego z nich nie przenosiła dwudziestu groszy, ale nasz galanternik, chcąc popisać się swoją francuzczyzną, utrzymywał że sprzedawał je „par un florin” (po złotemu) i ten frazes, wymówiony z właściwym jego plemieniu akcentem gardłowym, stał się dla nas jego przezwiskiem.

W przejeździe pożegnaliśmy wzrokiem kościół i plebanią, na ganku której skinął nam głową dorodny „Tadeczek”, chłopiec proboszcza, jeden z „czwórki” niewiadomo gdzie dobranych przez księdza chłopaków, którzy prześlicznie wyglądali w dni uroczystości kościelnych, w swoich białych komeżkach, czerwonych ze złotym galonem pelerynkach i takich samych czapeczkach. Przytem śliczni ci chłopcy, mało różniący się wiekiem i wzrostem, byli też do siebie i z twarzy bardzo podobni, a u księdza proboszcza gospodarzyli w domu, jak chcieli. Proboszcza ani wikarego w domu nie było, ruszyliśmy więc dalej. W rynku, dla pośpiechu, nie wstępowano do „kramów”, chociaż zawsze byłoby coś do kupienia, a kramy to były nielada, wszyskie połączone w czworokątny bazar, pokryty kopułą — zabytek lepszych czasów. I wtedy jeszcze można było w nich dostać wszystkiego, gdyż były to okolice, nie posiadające wprawdzie ani fabryk ani kolei żelaznych, ale bogate, ludne i urodzajne. Kupiono jednak dla nas kilka obwarzanków, z tych grube, zgodnie z przysłowiem o cenach stałych „jak za grosz obwarzanek”, kosztowały po groszu, ale cienkie były po dwa za grosz. Nie używały jednak dobrej sławy obwarzanki naszego miasteczka; daleko im było np. do słynnych „Romanowskich”, drobnych i masywnych z dziureczką tylko taką, jaka do przewleczenia nitki była potrzebną, sprzedawanych na „wianki”. Ponieważ mieliśmy przejeżdżać przez Romanów, gotowaliśmy się do zakupienia tam sobie znacznego zapasu; przytem obwarzanki „na jajkach” przydatne były tylko do herbaty, ze zwykłego zaś gatunku przygotowywano też wyśmienitą potrawę, zwaną „mnichami”, która wraz z grochem prażonym, opiekanym serem, marmeladą z mleka i „kisielem żórawinowym” należała do najulubieńszych przysmaków dziecinnych. Na obwarzanki Romanowskie mieliśmy już przygotowaną sporą „krobkę” lipową (pudełko), a Oleś posiadał spory „jaszczyk” pińskiego wyrobu, z czarnych i białych klepek.

Przejeżdżamy koło „poczty”, malowanej na żółto i odznaczonej dwoma żółtemi z czarnem słupami — ztąd kolor „żółty” zrósł się zupełnie w moim umyśle dziecinnym z wyobrażeniem poczty i tak już pozostało, podobnie jak akcyza usadowiła mi się w pamięci w kolorze niebieskim, gdyż takiej barwy były banderole z tym wyrazem na paczkach tytoniu „Kozaka” i „Żukowa”, używanego przez dziadunia do fajki. Na spotkanie nasze wychodzi sam poczciwy Cimochowicz, bardzo przez obywateli lubiony — postać wysoka, dobrej tuszy, o poczciwej twarzy jeszcze młodej i bez zarostu. Był to poczthalter miejscowy, zwany wtedy z ruska urzędowem mianem „smotrytiela”, co znaczy „nadzorcę” stacyi pocztowej. Pan Cimochowicz zawsze i wszędzie miał na sobie swój surdut mundurowy, ale zawsze rozpięty: takim, a nie innym utkwił w moich wspomnieniach. Wyniósł on nam parę listów i wyszedł nas powitać.

(*D. c. n.*)

KORESPONDENCYA

ZE LWOWA.

Przebudzenie się Lwowa. — Śmierć i pogrzeb Alfreda Młockiego. — Poranek na cześć Bohdana Zaleskiego i raut dla Deotymy dane przez *Koło literackie*. — Pobyt Deotymy. — Przyjazd D-ra Em. Tonnera. — Odczyty. — Teatr amatorski. — Tow. „Oświata” i jej prace. — Gremium kupców chrześciańskich. — *Wspólny Bazar*. — Pierwszy *Dom pracy*. — Ruch kolejowy. — Listy Zygmunta Krasińskiego.

Ni z tego ni z owego w miesiącu marcu, w postnym miesiącu Lwów zawrzał szczególnem życiem, a to nawet w sferach, które udziału w niczem zwykle nie biorą. Szczególny zbieg drobnych wypadków sprawił, iż rozbudzenie tego życia było nagłe i silne. Trudno iść za chronologicznym porządkiem, a nawet wyczerpać przedmiot, tyle nagromadziło się materyału i tak różnorodnego. Dotknijmy przedewszystkiem najsmutniejszego faktu, mianowicie śmierci Alfreda Młockiego, który zmarł 28 marca w 79 roku życia. Raz wszedłszy na niwę prac publicznych, zeszedł z niej po pięćdziesięciu kilku latach walki, niepowodzeń, zawodów, niezachwiany, niezrażony, nieugięty, równie spokojny, równie silny, równie pogodny jak przy początku przebieżonej drogi. Takich charakterów, takiej spokojnej potęgi moralnej, takiej niezłomnej woli, słowem takich przymiotów prawie idealnych mało na ziemi.

Mógł się mylić w swoich wyobrażeniach, szczerze demokratycznych które wypowiedział w dziełach: *„Rzut oka na rozwój narodu polskiego, jego upadek i wpływ jaki on wywiera na stan Europy”* i *„Krótki rys walki zasad w Europie”* jak też i w części swoich *„Pamiętnikach”* świeżo ogłoszonych, ale głębokości i powadze jego pojęć ująć nic nie można. Nieskalana zaś prawość charakteru to sprawiła, że przeciwnicy jego przekonań mieli dla niego cześć niekłamaną.

Trzeba wszakże i to powiedzieć, że gotów do wszelkiego poświęcenia, wielkiego swego majątku używał tylko na cele dobra publicznego i że nie było od 50 lat w Galicyi jednej pracy ogólnej, żeby Alfred Młocki nietylko osobistym udziałem ale i hojną ofiarą grosza się nie przyczynił do jej powodzenia.

Dzienniki, książki, wydawnictwa ludowe, szkoły, zakłady wszelkie, stowarzyszenia, czytelnie, towarzystwa zaliczkowe, słowem co tylko było znakiem życia i do szczęścia ogólnego dążyło znajdowało w rękach Młockiego poparcie i nigdy niewyschłe źródło pieniężnej pomocy. Śmierć jego choć zdawna przewidywana istotnym żalem przejęła miasto. W czasie pogrzebu zamknięto sklepy—wywieszono czarne chorągwie, zapalono gaz w ulicach i kilkadziesiąt tysięcy ludzi śród zimnego i ulewnego deszczu składało hołd nieboszczykowi. Co tylko Lwów ma wybitnego, zacnego, poważnego, stanęło do pochodu; oto porządek: Wieńców niesiono 36. Bolesny to był widok, ale zarazem pocieszający. Uznanie zasług przez ogół, to przecież dowód, że bądź co bądź, w tym ogóle jest

uczucie miary dobrego i złego i hołd cnocie składany jest także świadactwem jakiejś cząstki cnoty. Przyznajemy, żeśmy dumni byli patrząc na ten tłum ogromny i nieskończony szereg bractw, korporacyi, ciał politycznych, uczonych i t. d.

Ale nie tylko zmarli doznają u nas gorącego uczczenia. W tym roku skończył 80 lat nasz ukraiński słowik, Józef Bohdan Zaleski. *Koło literackie* nasze pierwszy raz wystąpiło publicznie, aby uczcić *naszego kochanka* jak go nazywa piosenka. Wydział *Koła* urządził *poranek artystyczno-literacki*, z którego dochód został przeznaczony na fundusz pomnika Mickiewicza. Sala była przepełniona. Po pięknem przemówieniu prezesa *Koła*, Deotyma odczytała swój wiersz przyjęty burzą oklasków. Następnie p. Józef Tretian miał odczyt o Bohdanie Zaleskim; resztę poranku wypełnił śpiew solowy; chór męzki i fortepian. W kilka dni potem *Koło literackie* dało na przyjęcie Deotymy wspaniały raut w ślicznie ubranej kwiatami i popiersiami poetów sali kasyna miejskiego. Przywitana przez D-ra Kubalę historyka i prezesa koła Deotyma odpowiedziała. Nastąpiły przedstawienia. Do dwustu osób zapełniło salę — i pierwszy to raz od lat wielu wszystkie warstwy społeczeństwa zmieszały się ze sobą. Wyborna muzyka wojskowa przygrywała bez ustanku, a chwilami odzywał się chór męzki. Gdy ożywienie doszło do wysokiego punktu, sekretarz Koła p. Wł. Bełza doręczył Deotymie bukiet i przemówił odpowiednio. Deotyma po chwili namysłu odpowiedziała, a Platon Kostecki zakończył ten turniej poetycki. Dobrze po północy rozeszli się goście zachwyceni rautem a nasz gość przyjęciem.

Obiady i rauty dla Deotymy szły koleją nieustanną, Lwów w Deotymie czcił nietylko samą Jadwigę Łuszczewską, ale pisarzy warszawskich i Warszawę.

Oprócz dwóch odczytów, które miała Deotyma na korzyść funduszu pomnika Mickiewicza, przemówiła po raz trzeci na dochód stowarzyszenia *Rodzina*, o którem nieraz wam pisałem. Na podziękowanie odpowiedział przewodniczący *Rodziny*.

Na trzeci dzień mieliśmy odczyt Doktora Emanuela Tonnera, dyrektora akademii handlowej w Pradze i posła do Rady państwa. Tonner, jak Deotyma zjechał do Lwowa na zaproszenie lwowskiego komitetu, który się zawiązał dla wspomożenia funduszu pomnika Mickiewicza. Zacny nasz przyjaciel mówił *o upadku narodu czeskiego i podniesieniu się jego przez pracę*. Nie potrzebuję wam pisać z jakim zapałem przyjęto i osobę Tonnera i jego odczyt, po którym Deotyma wręczyła mu bukiecik bratków. Tegoż wieczora dano na przyjęcie pobratymca naszego widowisko w teatrze i ucztę, na której zamieniono kilka pięknych mów i wypowiedziano kilka takich wierszy.

Jak widzicie poranki, rauty, wieczory, uczty następowały bez przerwy, że nie liczymy koncertów, a przestaliśmy liczyć odczyty, taka ich w marcu powódź. *Towarzystwo pedagogiczne* jak zwykle tak i w tym roku urządziło swoją seryą. Obok tego *Tow. politechniczne* wystąpiło ze swoim szeregiem odczytów, dalej inne przygodne, dalej odczyty w *Gwieździe*, na korzyść *Rodziny*, na pomnik Mickiewicza... Sprawozdawcy pracowali jak negry; czasami od 12-ej w południe do 1-ej w nocy trzeba było być na nogach.

Poruszyła się nawet arystokracya i zstąpiła ze sfer olimpijskich do sali kassyna miejskiego lub ratuszowej. Rzadka to rzecz, aby ta sfera u nas brała się do przyjemności umysłowych. Ale o mało nie zapomniałem o arystokratycznym teatrze amatorskim na dochód... na cele wiadome tylko najwyższym osobom. Grano tedy po polsku i po francuzku co było konieczniejsze od samej komedyi — bo w Polsce — Polacy — dla Polaków — grać we francuzkim języku... to rzecz poprostu dzika. Ceny naznaczono olbrzymie bo 15 złr. za lożę wszelkiego piętra... i mimo tajemnego celu nawet, bo nie raczono publiczności o nim uwiadomić, trzy razy spektakl dawano przed salą nabitą.

Zwróćmy się teraz ku pracom ekonomicznym i społecznym, bo w tym kierunku żywy ruch powstaje i rośnie, co jest pocieszającym znakiem. I tak Towarzystwo Oświata krząta się żwawo: w samym Lwowie założono dwie czytelnie, jedną wypożyczalnię, a w okolicy kilka czytelń. Dano już początek tworzenia kółek włościańskich pod nazwą *bractw gospodarczych*, które, jak się zdaje mnożyć się będą z łatwością. W przeciągu miesiąca w Galicyi przystąpiono do zawiązania *dziewięciu* towarzystw oświaty, przyjęto bowiem za zasadę zakładać towarzystwa powiatowe z żywiołów miejscowych, zamiast tworzyć organizacyą centralną. Istniejące już takie ciała przez delegatów stworzą organ centralny dla interesów wspólnych.

Słychać że statut *Macierzy Polskiej* już zatwierdzony przez rząd, instytucya ta więc wkrótce rozpocznie swoje czynności.

Gremium kupców chrześciańskich już się ukonstytuowało i rozpoczęło działanie w mieście Lwowie. Rękodzielnicy i drobni przemysłowcy dążą do założenia *Wspólnego Bazaru* celem ułatwienia zbytu, a więc podtrzymania rzemiosł i drobnego przemysłu. Z prywatnej inicyatywy, t. j. *Towarzystwa dobroczynnego Miłosierdzie* założono *Dom pracy* dla ubogich a zdolnych jeszcze do lżejszych robót. Niezdolni zaś znajdą w tym domu zdrowe jadło.—Ruch w sprawach kolejowych trwa ciągle. Z jednej strony silna jest agitacya aby wymódz na kolejach przeniesienie zarządów z Wiednia do Galicyi, z drugiej robią się starania o budowę drugorzędnych linii w powiatach pozbawionych wszelkiej komunikacyi. Co do pierwszej sprawy słuszność żądań jest uderzająca. Utrzymywanie całych zarządów w Wiedniu niezmiernie jest kosztowne, a nawet śmieszne. Jakże bowiem nazwać inaczej to, że inspekcya drogi w Galicyi będącej ma siedzibę w Wiedniu — tak samo nadzór wagonów również ma swoje biuro w Wiedniu. Druga zaś sprawa sama się broni, ale w ministerstwie są jeszcze stare biurokratyczne pozostałości, które wszystkiemu co słowiańskie jest przeciwne, a minister teraźniejszy nie ma dość charakteru, żeby opór podwładnych złamać.

Odbyło się przed pewnym czasem walne zgromadzenie *Tow. pracy kobiet*. Szczególna rzecz, że to godne wszelkiego poparcia stowarzyszenie z taką trudnością się utrzymuje. Nie jest to winą zarządu, ale niewytłomaczonej obojętności lub uprzedzenia tak ludności nabywającej jak pracującej.

Książek wyszło niewiele, z tych jedna u Gubrynowicza i Schmidta, jedna, ale zato wartości niepospolitej. Jest to pierwszy tom *zbioru korespondencyi Zygmunta Krasińskiego*, mianowicie jego Listy do Konstantego Gaszczyńskiego. Cóż to za skarbiec najprzeróżniejszych klejnotów! Najpiękniejszy wyraz serca miłującego rodzinną ziemię, nadzieje i marzenia młodzieńca, głębokie lub świetne i wzniosłe poglądy myśliciela i filozofa, serdeczne wynurzenia lub przestrogi szlachetnego przyjaciela, poetyczne obrazy, słowem dusza wielkiego poety i szlachetnego człowieka rozwarta przed czytelnikiem i spowiadająca się najwytworniejszą mową. Jeżeli kiedy, to dziś należy się wdzięczność pp. Gubrynowiczowi i Schmidtowi za wydanie tych listów, które będą jedną z najpiękniejszych ozdób naszego piśmiennictwa.

KOMITET
Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych
W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Z powodu przejścia domu pobernardyńskiego z posiadania Rządu w inne ręce, Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem w krótkim czasie zmuszonem będzie opuścić mury, w których się przed dwunastu laty własnym kosztem urządziło i szukać dla siebie innego pomieszczenia.

Trudność odnalezienia odpowiedniego lokalu, czyniącego zadość potrzebom Towarzystwa, a szczególniej wystawy dzieł sztuki, oraz brak funduszów na pokrycie kosztów komornego, które dotąd budżetu Towarzystwa prawie wcale nie obciążało, skłoniły Komitet do powzięcia myśli wystawienia dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych własnego domu.

W przekonaniu, że wobec świetnego rozwoju sztuki polskiej i jej uszlachetniającego wpływu na wszystkie warstwy społeczeństwa, kraj cały przyjmie gorący udział w sprawie wystawienia w naszym grodzie takiego publicznego przybytku dla sztuki krajowej, — Komitet wyjednał u Rządu zezwolenie na zbieranie składek dobrowolnych w obrębie Królestwa Polskiego do wysokości stu tysięcy rubli.

Do przyjmowania tych składek upoważnieni są członkowie kumitetu, kustosz i korespondenci Towarzystwa, wszystkie redakcye pism peryodycznych krajowych oraz inne osoby do tego przez Komitet piśmienie zaproszone i w tym celu zaopatrzone w osobne kwitaryusze.

Podając o tem do publicznej wiadomości, Komitet Towarzystwa ma niepłonną nadzieję, że społeczność nasza zrozumie wysoką doniosłość tej sprawy i ochoczo ją poprze w imię dobra powszechnego. A w ten sposób przy energii i poświęceniu ludzi dobrej woli, stanie wkrótce w Warszawie zbiorowemi siłami przybytek pamiątkowy, godny sztuki krajowej!

Jeżeli czesi milniony zebrali dla wzniesienia w Pradze teatru, to się zapewne znajdą u nas sto tysięcy na cel równie piękny i wzniosły! W tem przeświadczeniu rozpoczyna Komitet pracę około tego dzieła i da Bóg ujrzy je wkrótce uwieńczonem dla chluby kraju i sztuki!

Warszawa dnia 20 Lutego (4 Marca) 1882 r.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** W numerze dzisiejszym pomieszczamy odezwę komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie; o składanie ofiar na wzniesienie gmachu odpowiedniego dla przybytku sztuki narodowej.

Dotąd Towarzystwo nie miało własnej siedziby, przytulone w gmachu pobernardyńskim musi się ztamtąd usunąć a znalezienie nowego miejsca odpowiednio obszernego, właściwie oświetlonego i w środku miasta położonego, jest prawie niepodobne. Gdyby wreszcie znalazło się, to opłata wynajmu pochłonęłaby zbyt wielką część dochodów Towarzystwa, z któremi nadzwyczaj oszczędnie zmuszone jest obchodzić się. Musi zatem Towarzystwo albo przyjść do własnej siedziby, albo tułać się po cudzych kątach z wielką swoją szkodą.

Że malarstwo godnie przedstawia geniusz nasz narodowy, że przyczyniło się wielce do wydobycia na światło Boże tego co gwałtem starano się przysłonić cieniem zapomnienia, tego dowodzić nie potrzebujemy. Wprawdzie mamy dwie prywatne wystawy obrazów licznie zwiedzane przez miłośników, ale te nie mogą mieć nigdy tego znaczenia w skutkach spływających na kraj cały, jak Towarzystwo jedynie dla jego dobra działające. Prywatne wystawy głównie swój interes muszą mieć na celu.—Towarzystwo rozwój sztuki i niesienie jej pomocy. Różnica wielka, stanowczo na korzyść Towarzystwa przemawiająca.

Na niej to opierając się komitet, uznawszy konieczność posiadania odpowiedniego gmachu, na wystawienie go odwołał się do ofiarności publicznej. Nie idzie tu o wielkie dary, ale o zbiorowe, ogólne, jak to nauczyli bracia nasi Czesi przy dwukrotnej budowie teatru narodowego z pięknem godłem na jego frontonie: *Naród sobie!* I rzeczywiście, był to gmach przez cały naród wybudowany, *sobie*, bo przyłożyli się do niego wszyscy bez żadnego wyjątku, począwszy od bardzo skromnych jednostek aż do ludzi zamożnych, bogatych, zarządów gmin, miast i prywatnych różnych instytucyi i stowarzyszeń. Z ofiarą każdy chętnie śpieszył, dawał co mógł, centy, guldeny, setki i tysiące, i gmach stanął, a gdy spalił się, fundusz potrzebny na jego wzniesienie w przeciągu kilku miesięcy na nowo zebrano.

Otóż czy u nas podobnie nie dałoby się zrobić w składkach na gmach dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych?

Koszt wystawienia go obliczono na sto tysięcy rubli. Cyfra to okaźna ale w zbiorowem działaniu do osiągnięcia bardzo łatwa. Gdyby sami prenumeratorowie i czytelnicy pism peryodycznych dali wszyscy po pół rubla a choćby mniej nawet, ale wszyscy bez żadnego wyjątku, kwota ta wprędce zostałaby zebraną. Nie przedstawiamy tu niepodobieństwa. Dwakroć sto tysięcy takich ofiarodawców znaleźć się może i powinno, dobra wola i jasne pojęcie własnego interesu, poparte opinią publiczną, mogą tu wiele zdziałać. Do nich się też odwołujemy i mając nadzieję że nie daremnie, w przyjmowaniu składek chętnie się pośrednictwa podejmujemy.

*** Jak wiadomo, za inicyatywą rządu, Rada gminna miasta Wiednia postanowiła aby dnia 12 września, jako w dwóchsetną rocznicę oswobodzenia Wiednia oblężonego przez Turków przez Jana Sobieskiego, urządzić uroczysty obchód oraz wznieść w katedrze św. Szczepana pomnik dla uczczenia tej wielkiej pamiątki dziejowej i głównych bohaterów przyjmujących udział w sławnej bitwie pod Wiedniem.

Plan modelu pomnika wypracowany przez Stowarzyszenie artystów wiedeńskich, przesłała Rada gminna wiedeńska ministrowi oświecenia. Otóż prag-ski dziennik „Politik" zwrócił uwagę na ów plan i słusznie bardzo go skrytykował. Według tegoż planu, płaskorzeźby pomieszczone na pomniku przedstawiać mają 12 osób, otóż Janowi Sobieskiemu, rzeczywistemu oswobodzicielowi Wiednia i z nim i państwa Austryackiego, przeznaczono ostatnie miejsce nawet po elektorach bawarskim i saskim, a zasłużonego około obrony miasta Zdeńka Kaplirza, Czecha, wnuka owego sędziwego Kaplirza, który w 1621 r. zginął na rusztowaniu za wolność i wiarę czeską, zupełnie pominięto. Otóż „Politik" domaga się bardzo słusznie, aby ulegając germańskiej zazdrości i pysze, nie fałszowano faktów historycznych i fałszerstwa tego nie uwieczniano na pomniku. Na pomniku wzniesionym ku uczczeniu odsieczy Wiednia, pierwsze miejsce należy się bezwarunkowo Janowi Sobieskiemu.

Nie ma dziś ani jednego sumiennego historyka któryby nie wiedział, iż gdy nieuchronna zaguba groziła Wiedniowi, przybył do Warszawy poseł cesarza Leopolda Wilczek i wraz z towarzyszącym nuncyuszem papiezkim, Pallavicini'm, padli na kolana przed królem w galeryi zamkowej, poseł wołając: „Królu ratuj Wiedeń! nuncyusz zaś: królu, ratuj chrześciaństwo!" Ulegając ich błaganiom, Jan III wyruszył z Krakowa 15 sierpnia 1683 roku. Turcy już od 14-go lipca oblegali Wiedeń; wojsko ich liczyło blizko 300,000 ludzi oraz 250 dział i moździerzy. Ponieważ tak wojska austryackie jak i sprzymierzone siły książąt niemieckich, nie były zdolne oprzeć się potężne tureckiej, przeto księżę Lotaryngski, dowodzący wojskiem austryckiem, zmuszony był cofnąć się, pozostawiając obronę Wiednia mężnemu Rüdigerowi von Stahremberg i Kaplirzowi, który mimo mężnego oporu jaki stawiali, już mieli uledz po blizko dwumiesięcznem oblężeniu i ciągle ponawianych szturmach Kara Mustafy, gdy doszła ich wieść iż Jan Sobieski stanął pod Tulln d. 3 września, co dodało otuchy zniechęconemu wojsku. Przybywszy tam, nie znalazł król polski mostów niezbędnych do przebycia z wojskiem Dunaju, pomimo najuroczystszych przyrzeczeń cesarza Leopolda iż przygotowane zostaną. Własna dopiero i dzielnego księcia Lotaryngskiego zapobiegłość, zdołała zaradzić temu brakowi.

Podajemy wykaz sił zbrojnych wogóle: Austryaków 10,000, Bawarczyków 10,000, Frankończyków 8,000—razem 39,000; wojsko polskie liczyło 30,000 ludzi. Widzimy z tego jak przeważną zapewniało pomoc. Naczelne dowództwo nad całą armią sprzymierzoną oddano królowi polskiemu. W bitwie rozpoczętej rano, dnia 13 września, naczelnie i środkiem dowodził Jan III-ci, prawem skrzydłem Stanisław Jabłonowski, hetman wielki koronny, lewem książe Lotaryngski. Austryacy zachwiali się i zaczęli uciekać, poparli ich Sasi; około godziny 2-ej zapewnił zwycięztwo wojskom chrześciańskim walny atak wszystkich chorągwi polskich, na stanowisko Wielkiego Wezyra, Kara Mustafy. Nazwiska Mikołaja Sieniawskiego, hetmana polnego koronnego; Jędrzeja Potockiego, kasztelana krakowskiego, którego syn, Stanisław, poległ w tej bitwie; Marcina Kątskiego, generała artyleryi, głównych obok króla bohaterów tego wiekopomnego zwycięztwa, niezatartemi zgłoskami wyryły się na kartach dziejów—czyż sama słuszność nie nakazuje zamieścić ich postacie na pomniku mającym uwiecznić ten wielki fakt dziejowy? Mylne rozmieszczenie osób na płaskorzeźbach nie zmieni przeszłości — nie zbraknie uczciwych dziejopisarzy którzy z pokolenia w pokolenie prawdę przekazywać będą, ta więc krzywda wyrządzona bohaterskiemu królowi i polskim wojownikom, byłaby tylko dowodem nietylko już oburzającej niewdzięczności ale i niesumienności niemieckiej.

*** Zawiązuje się obecnie w Krakowie *Towarzystwo oświaty ludowej* i w tym celu dnia 5 b. m. odbyło się pierwsze posiedzenie pod przewodnictwem Prezydenta miasta, Dra. Wejgla, na którem uchwalono statut według przygotowanego projektu, z małemi jedynie poprawkami.

Na prezesa Towarzystwa wybrano prezydenta Wejgla, i dopełniono wyborów 12 członków do wydziału i 3 do komissyi rachunkowej. Po ukończonem posiedzeniu, znaczna liczba osób zapisała się na członków Towarzystwa.

*** *„Księgi pielgrzymstwa"* Adama Mickiewicza wyszły w Paryżu w przekładzie na język hebrajski, z przedmową francuzką napisaną przez p. Armanda Léwy. Przekładu dokonał rabin francuzki, dr. Mojżesz Ascarelli. Dochód z rozprzedaży wydawnictwa przeznaczono na mający stanąć w Krakowie pomnik Adama Mickiewicza. Cena egzemplarza na zwyczajnym białym papierze 5 fr., na chińskim 100 fr. Cały nakład odbito tylko w 550-ciu egzemplarzach; z tych 25 na papierze chińskim, tyleż na japońskim, 100 na holenderskim, 150 na welinowym i 250 na zwyczajnym białym.

*** Pan Karol Przezdziecki, zamieszkały w Paryżu i piszący pod pseudonimem p. de Noire Isle, za przekład poetów polskich na język francuzki otrzymał od ministra oświaty zaszczytny tytuł *„Officier de l'instruction publique"*. W motywach udzielonego dyplomu pan Juliusz Ferry wyraził się iż *l'ensemble de l'ouvrage nous a frappé* i tak ogrom pracy podjęty w szlachetnym celu, zalicza p. Przezdzieckiego do szczupłego szeregu kawalerów ozdobionych tym znakiem. Honorowe oznaki tej godności wręczone zostały p. P. przez prefekta Paryża.

*** Od kilku miesięcy tak towarzystwa geograficzne jakoteż i prasa paryzka żywo bardzo zajmują się ważną dla Francyi kwestyą na dalekim Wschodzie, przekopaniem kanału przez międzymorze Kra, na półwyspie Malaka, mającym być dopełnieniem dzieł p. Lesseps'a — Suezu i Panamy.

Żegluga około półwyspu Malajskiego odbywa się przez Syngapur i przy choćby lekko wzburzonem morzu jest bardzo niebezpieczną dla statków; nowy kanał otworzyłby komunikacyą z Chinami, Kochinchiną i Japonią, trwającą o pięć dni króciej i daleko bezpieczniejszą niż dzisiejsza droga. Pięć dni zyskane na czasie żeglugi w stronach gdzie zaopatrzenie statków w materyał opałowy jest bardzo trudne i kosztowne, zapewniają znaczne oszczędności, mogące opłacić sowicie koszt budowy kanału, nie mówiąc już o większem bezpieczeństwie podróżnych i statków.

Projekt przebicia kanału przedstawiony został ministeryum spraw zagranicznych przez p. Franciszka Deloncle, sekretarza ambasady, jeszcze w lipcu r. z. i jest tamże rozpatrywany, a obok tego projektodawca objaśnił niedawno w Towa-

rzystwie handlowo-geograficznem w Paryżu, jakie korzyści przyniosłoby Francyi połączenie nową drogą z krajami z któremi handlowe jej stosunki ciągle się zwiększają. Pan F. Deloncle wyjechał obecnie do Azyi wschodniej, odpowiednie zaś studya rozpoczął jeszcze w sierpniu 1879 roku. Obecnie rozpoczęto już w Siam rokowanie w celu otrzymania koncesyi, i wkrótce udaje się wyprawa pod przewodnictwem oficera marynarki dobrze znającego miejscowość. Koszt budowy kanału obliczony został na 160 milionów franków, dochód zaś, w przybliżeniu, na 8 milionów. Jest nadzieja że roboty rozpoczną się w r. p. a ukończone zostaną w r. 1885.

*** Ulrico Hoepli podaje do wiadomości iż przystąpił do skreślenia szkicu współczesnej literatury; materyały do piśmiennictwa polskiego należy nadsyłać na ręce p. Angelo de Gubernatis.

*** Henryk Wodsforth Longfellow, największy poeta Stanów Zjednoczonych, zmarł obecnie w Nowym-Yorku, w wieku lat 77. Sława jego zaczęła się od ogłoszenia drukiem słynnego romansu *Outre-Mer*, po wyjściu którego mianowany został profesorem literatury w Howard-College, w Kembrycz (Cambridge) w Stanach Zjednoczonych. Był on przeważnie poetą lirykiem, a liczne drobne jego poezye, z których *Excelsior* po kilkakrotnie na wszystkie niemal języki było tłomaczone, oraz prześliczna *Ewangelina, Złota legenda* i *Duma o Hiawacie* są prawdziwemi klejnotami natchnienia. Wielką jest zasługą zmarłego że przełożył na język angielski znakomitszych poetów europejskich, których utwory w przekładzie wydał p. t. *Poets and poetry of Europe.* Najznakomitsze utwory Longfellow'a przełożył na język polski p. F. Jezierski.

*** *Nieszpory Sycylijskie* o których tyle pisały obecnie dzienniki z powodu krwawych zaburzeń jakich obawiano się w Palermo, z okoliczności sześćset letniej ich rocznicy, upamiętnione są straszną klęską zadaną Francuzom na wyspie Sycylii, podczas nieszporów w poniedziałek wielkanocny, dnia 30 marca, 1282 r. Zabór Neapolu i Sycylii przez Karola Andegaweńskiego, napiętnowany w r. 1268 morderstwem Konradyna, ostatniego potomka płci mezkiej Hohensztaufów, a następnie niesłychanemi okrucieństwami nad ujarzmionym narodem, zmusił Sycylijczyków do sprzysiężenia i wejścia w zmowę z Piotrem III-cim królem aragońskim, który był ożeniony z wnuczką cesarza Fryderyka II, Hohensztaufa. Piotr udał się z wojskiem ku brzegom Afryki, pod pozorem walczenia z Maurami, i tam czekał na mający nastąpić w Sycylii wybuch, który też miał miejsce jednocześnie na różnych punktach wyspy, a w następstwie którego wymordowano tam znajdujących się Francuzów, nie wyjmując kobiet i dzieci. Wkrótce potém Piotr III-ci opanował wyspę, a wspomnienie tak okrutnego odwetu, przeszło do potomności pod nazwą „Nieszporów Sycylijskich". Nigdy jeszcze dotąd nie przyszło Włochom do głowy obchodzić uroczyście którąś rocznicę krwawego dramatu, obecnie dopiero skutkiem rozdrażnienia wywołanego sprawą tunetańską, stronnictwo ruchu zamierzało wyprawić manifestacyą przeciw Francyi.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z vêtement. Do spódnicy z materyału w pasy dodane vêtement z gładkiego materyału, odznaczające się nową oryginalną formą stanika, wyciętego w górze gorsecikowo i dopełnionego rodzajem króciutkiej żóawki z epoletami. Przody zebrane są à panier, z tyłu upięcie dochodzi do dołu sukni. Guziki zastąpione są dużemi złoconemi špilkami.

Suknia z draperyą. Bardzo efektownie złączone są tu trzy odmienne materyały w jednym kolorze. Spódnica z ciemno zielonej mory, ma z boków szerokie ranwersy pluszowe a przód zakończony szeroką falbaną, układaną w potrójne kontrafałdy. Stanik morowy szeroko obłożony pluszem; draperya z miękkiego atłasu skrzyżowana z przodu, z boków sfałdowana jest bardzo wysoko a z tyłu dopełniona prostym brytem, zręcznie podpiętym. Żabot z koronki i atłasowej wstążki.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Chocia..... w Micholasie dla Wawrzyńca Styka rs. 6 nadesłane doręczono.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 7 Апрѣля 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

Policzki Karola zarumieniły się lekko, ale udawał że przypatruje się uważnie latawcowi z czerwonego papieru, unoszącemu się w powietrzu.

— Teraz już otworzyły im się oczy, ojciec i matka widzą że z każdym dniem milknie i martwią się tem bardzo. A wszystkiemu winne te niedorzeczne *distinctions*, do których w Anglii przywiązują tak wielką cenę.

— Jakiż więc jest powód tej choroby? zapytał Karol, pomimo że domyślał się co chciała mu dać do zrozumienia.

Agnieszka spojrzała mu przenikliwie w oczy.

— Zdaje mi się że panu byłoby najłatwiej odpowiedzić na to... Nie może przyjść do siebie po gorączce którą przebyła w przeszłym roku, ale już przed tem była cierpiąca. Pierwsze oznaki choroby zaczęły objawiać się... przy końcu maja.

Karol zacisnął usta, Agnieszka patrzyła mu prosto w oczy.

— Czemu pan jej nie odwiedza? zapytała.

— Ponieważ.. ale sądzę że znasz tego powody, i wiesz że pułkownik i mistress Cleeve nie życzą sobie tego.

— Tak więc dozwolicie umrzeć tej biednej miss Łucyi, byle tylko nie naruszyć waszych angielskich przesądów. Widzę ja dobrze co się dzieje, nie jestem idiotką abym nie miała zrozumieć tego na co patrzę. Żegnam pana.

Odwróciwszy się z gniewem, odeszła od niego zamaszystym krokiem. Karol długo jeszcze potem przechadzał się zatopiony w głębokiem rozmyślaniu; gdy się zmierzchało, wrócił do hotelu, śpiesząc się tak jakby mu pilno było spełnić jakieś ważne postanowienie. Zresztą myślał już o tem nie raz zanim spotkał Łucyę i rozmawiał z jej służącą.

Tego wieczora pułkownik siedział sam tylko w swej sali jadalnej, gdy mu list przyniesiono. Zatopiony w smutnem zamyśleniu o niepokojącym stanie zdrowia jedynej córki, nie otworzył go zaraz. Jeżeli nie zajdzie jakaś nadzwyczajna zmiana, którą możnaby uważać za cud prawdziwy, Łucya nie będzie mogła żyć dłużej nad kilka lub może parę miesięcy. Pułkownik Cleeve widział już teraz że rozłączenie z Karolem Andinnian było próbą zbyt ciężką, przewyższającą siły Łucyi. Spojrzał przypadkiem na list leżący przy nim, wziął go w rękę, otworzył, zadrżał przebiegając go oczyma i spojrzał z zadziwieniem na podpis. Czyby cud pożądany miał się ziścić?

Był to list krótki, zwięzły, zmierzający prosto do celu, zdradzający zacne serce i prawy charakter, słowem list jakie Karol umiał pisać.

Spotkał dziś przypadkiem miss Cleeve. Doznał nader bolesnego wrażenia widząc ją tak zmienioną a później nieco dowiedział się od Agnieszki że stan zdrowia jej młodej pani budzi wielkie obawy. Dodawał następnie, dobierając wyrazeń o ile można było najdelikatniejszych, że obawia się czy smutek jakiego doznała w maju, nie wpłynął tak szkodliwie na jej zdrowie. Potem przedstawiał swoje obecne położenie, wymienił wartość swych dóbr i wysokość rocznego dochodu, kończąc zapytaniem: czy wolno mu będzie starać się o rękę Łucyi, teraz, gdy może jej ofiarować piękny majątek i tytuł lady.

Pułkownik odczytał list trzy razy od początku do końca, a po każdem odczytaniu rozmyślał długo, poczem przywołał do siebie żonę.

— Wprawdzie pochodzi nie jego wiele zostawia do życzenia... prócz tego cięży na nim ta straszna skaza, rzekł podawszy jej list do czytania—ale może chodzi tu o zdrowie a nawet o życie Łucyi.

— List ten jest doskonale napisany, powiedziała przeczytawszy go mis Cleeve; styl pełen uczucia i godności, mało młodych ludzi zdobyłoby się na podobny. Każdy ustęp tchnie szlachetnością i prawością charakteru; inny na jego miejscu zwróciłby się wprost do Łucyi. Z wyjątkiem rodowodu i kryminalnej kary jaka dotknęła jego brata, trudnoby nam było znaleźć odpowiedniejszego zięcia jak sir Karol Andinnian. Tak, dodała po chwili namysłu, nie ulega zaprzeczeniu że partii tej nie jedno zarzucićby można, ale wszystkie te ale są niczem w porównaniu z nadzieją wyleczenia Łucyi. Zostanie żoną baroneta, posiadającego znaczny majątek, a prócz tego o ile mi się zdaje, będzie bardzo szczęśliwa.

Skoro oboje zgadzamy się na to, napiszę prosząc aby przyszedł, odrzekł pułkownik.

Karol przybył nazajutrz rano; pułkownik okazał się równie szczerym w rozmowie jaką mieli z sobą jak Karol w swoim liście.

— Jest to, rzekł, ostatni środek jaki mi pozostaje, chcę więc spróbować czy uciekając się do niego, uda mi się ocalić życie Łucyi,—gdyż niepodobna zaprzeczyć, sir Karolu, że bardzo do ciebie była przywiązana. Wczoraj jeszcze wieczorem myślałem z boleścią że cud chyba mógłby ją uratować, gdyż doktorzy oznajmili mi: iż ponieważ choroba mojej córki jest wynikiem czysto moralnych powodów, a źródłem jej jest serce czy wyobraźnia—więc sztuka lekarska nic tu poradzić nie zdoła. Co do mnie, jestem przekonany że jest to po prostu ukryta febra a z nią gorączka powracająca periodycznie, ale cóż kiedy nie będąc doktorem, uleczyć jej nie umiem. Gdym nad tem rozmyślał, przyniesiono mi list pana—przeczytawszy go zadałem sobie pytanie czy nie jest to czasem ów cud upragniony, spadający jakby z nieba.

— Panie Pułkowniku, jeźli oddasz mi rękę Łucyi, całe życie moje poświęcę jej szczęściu, najtkliwszemi otaczając staraniami, odrzekł wzruszonym głosem Karol. I ja także cierpiałem bardzo wszelką szczęścia straciwszy nadzieję — ale jako mężczyzna mogłem mężniej znosić ciężkie spadające na mnie ciosy i próby.

— Gdyby brat pana żył jeszcze, nic w świecie nie zdołałoby mnie skłonić do zezwolenia na ten związek, rzekł pułkownik. Daruj, sir Karolu, że mówię całą prawdę ale niezbędną jest rzeczą abyśmy się jasno i dokładnie porozumieli. Mam i zawsze miałem dla ciebie wiele życzliwości i przyjaźni, jednakże wyrok skazujący brata twego do ciezkich robót w kajdanach, rzucił i na ciebie taki cień niesławy, iż gdyby Łucya w takich okolicznościach została twoją żoną, jestem najmocniej przekonany, iż ani ja ani mistress Cleeve nie zdołalibyśmy tego przeżyć—a już co najmniej zatrułoby to nam resztę życia.

— Gdyby nieszczęśliwy brat mój żył jeszcze, nigdy nie ośmieliłbym się prosić o rękę miss Cleeve.

— I miałbyś zupełną słuszność; przekonałem się już niejednokrotnie, iż pod wielu względami pojęcia nasze najzupełniej się zgadzają. Pomimo bezgranicznego przywiązania naszego do Łucyi, wolelibyśmy przecież widzieć ją w grobie, niż wystawiać ją i siebie na taką hańbę.

Głębokie wzruszenie z jakiem pułkownik — zwykle tak apatyczny — wypowiedział te słowa, dowodziło jego szczerości, wykazując zarazem za jak straszną uważałby to hańbę.

— Ale nieszczęśliwy brat pana śmiercią okupił swoją winę, dodał pułkownik Cleeve, i można się spodziewać że z czasem świat zapomni tak o nim i o zbrodni jakiej się dopuścił. Ożywieni tą nadzieją, oboje z mistress Cleeve postanowiliśmy oddać ci rękę Łucyi — zawsze to lepiej niż patrzeć jak codzień niemal zbliża się do grobu.

Sir Karol Andinnian przygryzł usta. Gdyby nie to że przetrwał już tyle i tak ciężkich upokorzeń—co musi wpływać na osłabienie naszej pychy—byłby pewnie okazał swoje niezadowolnienie, usłyszawszy ostatnie słowa pułkownika. Ten dostrzegł iż dotknął go boleśnie, i żałował mocno że był zmuszony przemówić tak szorstko.

— Uważałem za rzecz niezbędną powiedzieć ci szczerą prawdę — wybacz Sir Karolu, że jest ona tak gorzką i przykrą dla ciebie. Teraz z kolei mogę zapewnić cię najuroczyściej, iż ani ja ani mistress Cleeve nigdy najmniejszego tobie nie czyniliśmy zarzutu. Nic nie jesteś temu winien że brat twój takiej dopuścił się zbrodni, bo nie było w twojej mocy przeszkodzić temu; to też podzielaliśmy tak żywo twój smutek i strapienie jak gdybyś był członkiem naszej rodziny. Nie mówmy już odtąd nigdy o bracie twoim; odnośnie do niego zapomnijmy zupełnie o przeszłości — czy zgadzasz się na to?

— Najchętniej.

— Więc sprawa skończona, kochany Karolu. Czy chcesz widzieć się z Łucyą?

— O! tak, jeźli tylko można, odrzekł żywo, i uśmiech szczęścia opromienił twarz jego, dotąd tak smutną i znękaną. Czy Łucya wie że tu jestem?

— Nie, nie wie o niczem; matka jej uznała stosownem abym pierwej rozmówił się z tobą. Zawiadom ją sam, ale jak najostrożniej, bo jest bardzo osłabiona.

Łucya była sama w salonie. Siedziała w wielkim fotelu obitym karmazynowym aksamitem, przyglądając się bogatym podarunkom jakie matka ofiarowała jej na kolendę. Wdzięczny uśmiech rozjaśnił blade usta, ale jednocześnie oczy jej zrosiły się łzami—na myśl że niedługo nosić będzie te klejnoty.

— Łucyo, rzekł ojciec jej otwierając drzwi, przyprowadzam ci gościa, pana Karola Andinnian.

Łucya podniosła się z fotelu, cała drżąca ze wzruszenia; pudełko z klejnotami zsunęło się z jej kolan na ziemię. Miała na sobie fiołkową jedwabną suknię; Agnieszka otuliła ją białym szalem, gdyż nieustannie przejmowały ją zimne dresz-

cze. Karol postąpił ku niej, pułkownik zamknął drzwi i odszedł zostawiając ich samych.

Ująwszy obie jej wychudłe ręce, posadził ją na kozetce, wpatrując się z boleścią w jej zmienioną twarzyczkę, którą niespodziewane jego przybycie gorączkowym pokryło rumieńcem.

— Wczoraj rano zobaczyłem cię Łucyo na polach Elizejskich, i serce ścisnęło mi się boleśnie widząc cię tak zmienioną.

— Widziałeś mnie? przejechałam się trochę z mamą. Ta nieszczęsna febra której dostałam zeszłego lata nie chce mnie opuścić i sił odzyskać nie dozwala.

— Czy *sama tylko febra* jest przyczyną twej słabości, Łucyo?

Mocny rumieniec na twarz jej wystąpił; spuściła śliczne oczy, unikając wzroku Karola.

— A ja sądziłem że może istnieje inny powód, ośmieliłem się powiedzieć to pułkownikowi Cleeve który podziela moje zdanie.

— I ty odważyłeś się przyjść do nas? zawołała mocno zdziwiona.

— Napisałem list do pułkownika i zamieściłem w nim co powiedzieć mu chciałem — w odpowiedzi zawezwał mnie do siebie.

Usiadł na kozetce obok Łucyi, i rzekł obejmując jej wiotką kibić.

— Musisz koniecznie powiedzieć mi, Łucyo co jest powodem że nie możesz odzyskać zdrowia.

— Nie mogę... nie wiem... odrzekła łkając. Chciałabym jednak aby zdrowie moje polepszyło się nieco, przez wzgląd na biednych moich rodziców.

— Jak myślisz, droga Łucyo, czy ja nie mógłbym przyczynić się do twego wyzdrowienia?

— Jakże mógłbyś tego dokazać?

— Czuwając nad tobą, pielęgnując cię jak najtroskliwiej, otaczając bezgranicznem przywiązaniem... nareszcie, zostając twoim mężem.

— A! nie żartuj, Karolu, wiesz że to jest niepodobieństwem, odpowiedziała cichym i drżącym głosem.

— A jeżliby rodzice twoi uznali że to nie jest niemożebnem?

Dźwięk głosu jego, w którym drgało szczere i głębokie wzruszenie, kazał wierzyć że nie mówi tego żartem. Łucya spojrzała na niego badawczo.

— Karolu, nie igraj z cierpieniem mojem! zawołała; co chcesz przez to powiedzieć?

Drżącą ręką przycisnął ją do siebie; twarz jego pobladła skutkiem głębokiego wzruszenia.

— Chcę powiedzieć, ukochana moja, że będziesz moją, moją na zawsze... zostaniesz żoną moją... Rodzice twoi zezwalają na nasz związek; ojciec twój sam mnie tu przyprowadził i upoważnił abym cię o tem zawiadomił.

Chwila wątpliwości; dreszcz lekki ją przebiegł, jak gdyby siły jej za słabe były na taki ogrom szczęścia... Po chwili odetchnęła lżej i opuściła głowę na ramię Karola — mające być jej podporą na życie całe.

Siedzieli czas jakiś pogrążeni w niemem zachwyceniu; po niejakimś czasie Karol zapytał Łucyi:

— Dla czego tak przypatrujesz się tej bransolecie?

— Wczoraj dostałem ją od matki na kolendę wraz z innemi podarkami; otóż zanim zobaczyłam ciebie, myślałam sobie że niedługo nosić ją będę,

— A ja przechadzając się wczoraj samotnie po bulwarach, cóżbym był nie dał za to aby mieć kogoś komu mógłbym ofiarować podarek kolendowy ale wszak nie za późno jeszcze...

Zdjął z palca kosztowny pierścień, z przepysznym opalem otoczonym brylantami, którego nigdy pierwej nie widziała u niego.

— Cóż to za prześliczny klejnot! zawołała, patrząc na kamienie połyskujące tysiącem ogni, od blasku padającego na nie światła.

— To nie podarunek, Łucyo droga, ale tylko zakład dopokąd nie znajdę innego mogącego zastąpić go godnie. Pierścień ten był własnością mego ojca, dostał go od pewnego sułtana wschodu, któremu miał sposobność nader ważną oddać przysługę. Po śmierci ojca przeszedł do mego brata, a... później do mnie.

Ostatnie słowa wypowiedział głuchym głosem. Łucya żywem przejęta współczuciem, serdecznie uścisnęła dłoń jego.

— Niech więc tymczasowo pierścień ten będzie zaręczynowym naszym pierścieniem oraz zakładem bezgranicznej naszej miłości.

Był to ten sam pierścień który Adam miał na palcu podczas procesu, w dzień zapadnięcia wyroku zdjął go i odesłał Karolowi, który posiadał go od owego czasu, jednakże zaczął go nosić dopiero po śmierci brata.

IX.

W Foxwood.

Gdy sir Karol Andinnian odchodził, spotkał w pokoju jadalnym pułkownika i mistres Cleeve. Matka Łucyi podała mu rękę którą on ścisnął gorąco.

— Bardzo się cieszę z takiego obrotu rzeczy, odezwała się uroczystym tonem. Wiem że będziesz nad nią czuwał troskliwie i zapewnisz jej szczęście.

— Będzie to głównem zadaniem mojego życia, odpowiedział Karol z zapałem. Droga mistress Cleeve nie zdołam nigdy wyrazić ci całej mojej wdzięczności!

Szmer ich głosu doszedł do gabinetu znajdującego się po drugiej stronie korytarzyka, do którego drzwi były uchylone. Kobieta w podróżnem ubraniu zbliżyła się natychmiast do nich, wychylając trochę głowę, była to miss Blake która przybyła niespodziewanie z Anglii. Karol tymczasem wyszedł drugiemi drzwiami. Oczy miss Blake zaokrągliły się pod wpływem zdumienia.

— Wszak to kapitan Andinnian był tu przed chwilą! zawołała wchodząc do sali jadalnej.

— Niegdyś kapitan Andinnian, Tereso, odpowiedział pułkownik Cleeve, obecnie zaś sir Karol Andinnian.

Tak, tak; ale łatwo zapomnieć o tytułach tak świeżej daty, odpowiedziała niecierpliwie. Słyszałam że bawi w Paryżu, ale cóż go *tu* sprowadziło? Czy wolno mu bywać u was?

— Tak, i zabiera nam Łucyę; ale mistress Cleeve opowie ci wszystko; ja muszę dziś jeszcze napisać kilka listów.

Miss Blake spojrzała na niego z osłupieniem.

— Zabiera Łucyę! zawołała nakoniec. Gdzie? Jakim sposobem?

— Do siebie; a łatwo się domyślić że jako swą żonę, odpowiedziała z uśmiechem mistress Cleeve.

— Jako—swą—żonę! powtórzyła miss Blake. Ona! żoną Karola Andinian! nie, nie! to niepodobna! żartujesz tylko ze mnie, mistress Cleeve.

— Nie żartuję bynajmniej, Tereso. Oświadczył się dziś i został przyjętym, a przed chwilą właśnie widział się z nią po raz pierwszy jako ze swą narzeczoną. Cóż czynić, moja droga, jestem pewna że gdyby się nie pobrali, Łucya przypłaciłaby to życiem. Oni są dla siebie wszystkiem na świecie.

Miss Blake wróciła do swego pokoju z ciężkim bolem w sercu. Twarz jej przechodziła z martwej bladości do szkarłatu i ze szkarłatu do bladości, gdy zaczęła się zastanawiać nad tą niespodziewaną wiadomością i rozważać jej dla siebie następstwa. Jęk boleści wydarł się z jej piersi gdy zdołała ocenić całą rozciągłość swego nieszczęścia.

Ten powtórny cios był prawie równie ciężkim jak pierwszy, i jak grom spadał na nią. Tak długo łudziła się nadzieją, że Karol Andinnian zwróci się kiedyś do niej, tak się pieściła z tą myślą, że w końcu zaczęła to uważać za rzecz pewną. Ma się rozumieć że podwyższenie znaczenia i majątku, uczyniło ten związek jeszcze pożądańszym, chociaż nie mogło już powiększyć jej uczucia. Podniecała ciągle tę miłość tajemną, karmiła się nadzieją tak błogiej przyszłości, wyrobiła w sobie przekonanie że prędzej czy później zostanie żoną sir Karola Andinnian; a teraz dowiedziała się nagle że on ma zaślubić Łucyę Cleeve! Jakże to straszny cios dla niej!... Miss Blake już przedtem doznała przykrego zawodu; zmiany wprowadzone w kościele pana Blake, ustąpiły z niego jednocześnie z wielebnym Gwidonem Cattacomb. Wszystko szło bez przeszkody do połowy grudnia, ale przed Bożem Narodzeniem pastor Blake wrócił do domu; wprawdzie niezupełnie jeszcze odzyskał siły, ale ponieważ mu doniesiono co się dzieje w jego kościele, pośpieszył o ile mógł najprędzej aby zapobiedz złemu. Zaledwie wysiadł z powozu, oświadczył Gwidonowi Cattacomb że go oddala, a następnie przywrócił dawny porządek nabożeństwa. Było to rzeczą nader przykrą dla miss Blake, ale musiała się poddać konieczności. Pobyt w Winchester stracił już dla niej wszelkie swe powaby, a że państwo Cleeve oświadczyli jej dawniej iż zawsze z przyjemnością będę ją widzieć u siebie i że wesoły i ożywiony Paryż bardzo jej się podobał, namyślała się właśnie czyby tam nie pojechać, gdy przypadkiem spotkała się z kapitanem Lamprey, który jej powiedział że Karol Andinnian bawi także w Paryżu. Łatwo się domyśleć że ta wiadomość wpłynęła stanowczo na jej postanowienie. Wyjechała nie uprzedziwszy nawet o tem państwa Cleeve, i zaraz w pierwszych chwilach po przybyciu, spotkała ją niespodzianka, zobaczyła Karola! lecz niestety! po to jedynie aby się dowiedzieć że wszystkie jej nadzieje zostały bezpowrotnie zniweczone.

Los prześladował ją widocznie. Gdy kilka miesięcy temu wróciła z Paryża do Winchester, z sercem przepełnionem miłością dla Karola Andinnian, i błogą, radosną myślą, że go znów zobaczy, doznała bolesnego rozczarowania przekonawszy się że Łucya opanowała jego serce; teraz znów, gdy pośpieszyła z Winchester do Paryża, ożywiona takiemiż samemi uczuciami, pewna że już został na zawsze rozłączonym z Łucyą, wszystko uległo zmianie, i zastała Łucyę narzeczoną Karola.

Miss Blake znajdowała się w całkiem niepożądanem usposobieniu umysłu, i jeżeli dawniej cała jej starannie ukrywana niechęć, spadała na Łucyę, to obecnie zwróciła ją na Karola. Jakie miał prawo, myślała sobie, zapominając jak podobne pytanie było niesłusznem, jakie miał prawo jechać za Łucyą aż do Paryża, skoro mu stanowczo i na zawsze odmówiono jej ręki? Gdy już zdolna była zapanować nad sobą, przebrała się, przybrała postawę obojętną, i udała się do pokoju jadalnego, gdzie państwo Cleeve rozmawiali jeszcze o przyszłości Łucyi i z każdą chwilą zapatrywali się przychylniej na jej związek z sir Karolem Andinnian.

— Związek ten wstyd wam przyniesie, odezwała się zimno miss Blake; jest on prawie poniżającym dla Łucyi.

— Nie podzielam twojego zdania, Tereso, odpowiedział pułkownik, i nie podzieli go żaden człowiek z sercem. Pomyśl tylko o stanie zdrowia Łucyi, i powiedz czy nie zmusza do pewnych ofiar? To jedno tylko mogło ją uchronić od śmierci, i pewny jestem że uchroni. Umarłaby wkrótce gdybyśmy nie chwycili się tego środka ratunku. Kochają się miłością tak wielką, tak silną, jaką nader rzadko zdarza się spotykać.

Teresa przygryzła usta chcąc aby się choć trochę zarumieniły.

— Człowiek, którego brat został skazanym na śmierć za rozmyślne zabójstwo, a następnie umarł w kajdanach, usiłując wyzwolić się od zasłużonej kary, nie może być odpowiednią partyą dla miss Cleeve.

— Występny już nie żyje, Tereso, a zbrodnia ego wraz z nim przestała istnieć. Gdyby dotąd dźwigał kajdany, wolelibyśmy widzieć Łucyę w grobie, niżeli dozwolić aby Andinnian wszedł do naszej rodziny.

Bladość i niezadowolnienie Teresy, nie uszły uwagi państwa Cleeve ale w niewinności ducha, brali to za dowód troskliwości o los Łucyi.

— Sir Karolowi Andinnian nie można nic zarzucić, mówił dalej pułkownik, łączy wielką słodycz charakteru, z głębokiem poczuciem honoru. Zresztą, jest obecnie baronetem i zapewnia Łucyi piękny majątek.

— Nie można go nazwać bogatym, odpowiedziała cierpko Teresa, nie wytrzyma porównania z innymi baronetami.

— Nie przeczę, że znajdują się bogatsi od niego, ale jest też wielu uboższych. Posiada siedm tysiecy funtów rocznego dochodu, z których daje matce na bardzo dostatnie utrzymanie. Porównajże teraz Tereso, moje dochody z jego dochodami, skoro już chcesz porównywać koniecznie, a wiesz przecie że nie mam nawet dwóch tysięcy funtów rocznie.

— Czy jesteś pewnym, pułkowniku, że pod innemi względami jest godnym Łucyi? zapytała tonem złośliwym, dającym wiele do zrozumienia. Mówią o nim różne rzeczy.

— Cóż takiego?

— Wnosząc z tego co o nim nadmieniali koledzy, możnaby sądzić że nie prowadzi zbyt przykładnego życia.

— Trudno temu uwierzyć, odezwał się pułkownik po chwili milczenia. Nie życzyłbym sobie powierzyć Łucyi człowiekowi zasługującemu na podobne zarzuty.

— Może to było fałszywe oskarżenie, odezwała się miss Blake, której sumienie przypomniało że nie trzymała się ściśle prawdy i przedstawiała rzeczy w przesadzonem świetle. — Znasz zapewnie, pułkowniku, młodego pana Dennet? otóż pewnego dnia toczyła się na probostwie rozmowa o oficerach w ogóle, i wtenczas to Dennet utrzymywał że nie prowadzą zbyt budującego życia; a gdy ja powiedziałam, wyznaję, co było śmiesznem i niewłaściwem z mej strony, iż jestem pewna że panu Andinnian nie można nic zarzucić. odpowiedział mi z ironicznym uśmiechem, że Andinnian nie był lepszym od innych. Oto najściślejsza prawda, dodała miss Blake, rada że zadowolniła wymagania swego sumienia.

Może ktoś powie że to była drobnostka; tak, zapewnie, ale budziła w umyśle pułkownika wątpliwość i niepokój, których postanowił się pozbyć jak najprędzej. Gdy Karol, stosownie do otrzymanego zaproszenia przyszedł na obiad, pułkownik kazał go wprowadzić do swego pokoju i tam stojąc przed kominkiem, opowiedział mu krótko i wiernie o co go oskarżają.

— Czy to prawda czy też fałsz, sir Karolu?

— Fałsz, pułkowniku, przynajmniej co do znaczenia jakie zdajesz się przypisywać temu oskarżeniu, odpowiedział Karol, zwracając na niego pełne szczerości spojrzenie. Nie mogę powiedzieć że nie popełniłem żadnego szaleństwa, zwłaszcza po wstąpieniu do pułku; człowiek młody nie potrafi uchronić się od tego, gdy wejdzie w towarzystwo kolegów wiodących wesołe życie, choćby nawet miał najczystsze i najlepsze zasady. Prędko jednak cofnąłem się z tej drogi, dzięki zbawiennym radom których mi ojciec udzielił leżąc już na łożu śmierci.

— Ale czy zastosowałeś się do nich ściśle?

— Jeśli nie zastosowałem się do nich dokładnie, to przynajmniej usiłowałem dojść do tego; zresztą gdybym nawet z natury był najbardziej płochym i lekkomyślnym, to sam zbieg okoliczności doprowadziłby mnie do upamiętania. Poznałem Łucyę i miłość moja dla niej powstrzymywała mnie do wszelkich zboczeń; a następnie spadł na mnie ten straszny cios wraz z całym szeregiem tak bolesnych następstw. Mogę zaręczyć honorem, pułkowniku, że nigdy nie dopuszczałem się nadużyć i szaleństw, w których pogrąża się tylu młodych ludzi; nie, nigdy, nawet w pierwszych latach mej młodości. Mogę nawet zapewnić z całą szczerością, że nie zdarzyło mi się nigdy abym popełniwszy jaki błąd, nie wstydził się następnie sam siebie, i... i nie prosił Boga o przebaczenie.

Wymówił te słowa z widocznem wzruszeniem, i pułkownik widział że mówi tak szczerze jak gdyby stał przed obliczem Boga. Uścisnął rękę Karola, pojmując że wśród tysiąca młodych ludzi nie znalazłby mu równego.

— Pozostań zawsze, rzekł, człowiekiem równie szczerym, prawym i dobrym chrześcianem. Nie mogę nawet życzyć sobie dla Łucyi męża zacniejszego od ciebie.

Wchodząc do salonu zastali w nim Łucyę, która już od pewnego czasu nie schodziła na obiad. Miała na sobie jedwabną różową suknię; przelotny rumieniec zabarwił jej twarzyczkę, a piękne ciemne oczy zajaśniały blaskiem gdy zobaczyła Karola. Pochylił się ku niej i zaczął coś mówić, a Teresa Blake spuściła głowę przyciskając ręką czoło, jakby tam nagle ból uczuła.

— Proszę do stołu.

Sir Karol, zachowujący ściśle przepisy etykiety, zbliżył się do mistress Cleeve; odsunęła go z uśmiechem.

— Pójdę sama, Karolu, podaj rękę Łucyi, ona potrzebuje wesprzeć się na kimś. Pułkownik poprowadzi miss Blake.

Karol zastosował się najchętniej do jej rozkazu i podał rękę Łucyi, której twarz pokryła się tak żywym rumieńcem, jakiego nie dostrzeżono na niej już od kilku miesięcy. Panna Agnieszka, przewodnicząca przy nakrywaniu stołu, pamiętała o tem aby siedzieli obok siebie. Teressa zajmująca miejsce naprzeciwko, ciągle ukradkiem spoglądała na nich.

— Łucya znalazła prawdziwy skarb, szepnął pułkownik do miss Blake, siedzącej przy nim; skarb jaki rzadko zdarzy się spotkać. Zapytałem go otwarcie o to co mu zarzucano, i dał mi zupełnie zadawalniającą odpowiedź. Patrz tylko jak szczęśliwa zmiana zaszła w Łucyi w ciągu jednego dnia! jak dobrze wygląda, jak się zdaje szczęśliwa!

Miss Blake widziała dobrze, nawet zbyt dobrze odnośnie do swego życzenia, nieomylne objawy wzajemnej miłości narzeczonych. Jednocześnie własne jej uczucia zaczynały ulegać zmianie; zdawało jej się że jej miłość dla Karola Andinnian przeradza się w nienawiść gorzką, gwałtowną, zaciętą. Nie mogło to przecież nastąpić tak nagle, miłość nie zmieni się w jednej chwili w nienawiść.

Postanowiono że ślub odbędzie się niezwłocznie, to jest skoro tylko pozwoli na to zdrowie Łucyi. Z każdym dniem stawała się rzeźwiejszą, odzyskała apetyt, wesołość, chciała być zdrową. Po dwóch tygodniach już o tyle odzyskała siły, że można było stanowczo oznaczyć dzień ślubu około połowy lutego, i sir Karol napisał do panów Plunkett et Plunkett aby przygotowali potrzebne akta. Napisał także do matki—z czem nie śpieszył się dotąd, gdyż tajemne przeczucie ostrzegało go, że ją ta wiadomość bardzo zmartwi i będzie go oskarżać że zapomniał już zupełnie o tak świeżej śmierci brata. Nie mylił się prawdopodobnie, gdyż mistress Andinnian nie odpisała mu wcale.

Zasmuciło to Karola, ale nie śmiał pisać powtórnie. Trzeba pamiętać że między mistress Andinnian a młodszym jej synem istniał całkiem wyjątkowy stosunek, że od samego dzieciństwa trzymała go zdala od siebie, przyjmowała zimno, nie chętnie, wszelkie objawy jego przywiązania, postępowała z nim zawsze despotycznie. Karol wiedział dobrze iż skoro mu nie chce odpowiedzieć, następne jego listy nie zmieniłyby jego postanowienia.

Przedstawiał sobie skargi i wymówki matki tak wiernie jak gdyby je słuchał. „Zapomniał o swym nieszczęśliwym bracie, zapomniał że się uginam pod ciężarem smutku, i pomijając przepisy przyzwoitości, śpieszy się wyprawić weselne gody“. Prawdę mówiąc, wolałby sam trochę ślub opóźnić, ale szło mu przedewszystkiem o zdrowie Łucyi. Potrzebowała śpiesznie szukać cieplejszego klimatu, a było właściwiej aby Karol towarzyszył jej jako mąż, niżeli jako narzeczony, w tym ostatnim razie rodzice musieliby pojechać z nią także, a interesa powoływały pułkownika do Anglii.

Karol miał bawić z żoną we Włoszech przez rok, a może nawet dłużej jeszcze, doktorzy utrzymywali że dłuższy tam pobyt przywróci zupełnie zdrowie Łucyi. Sir Karol nie sprzeciwiał się temu bynajmniej, a nawet cieszył się że matka przez ten cały czas będzie mogła pozostać sama w Foxwood.

Skończył się wreszcie luty, w ciągu którego Łucya z każdym dniem odzyskiwała siły, a w sercu miss Blake, bawiącej ciągle w Paryżu, z każdym dniem także wzmagała się niechęć do Karola.

Sir Andinnian wyjechał 6-go lutego do Londynu, gdzie go powoływały różne interesa. Akta dotyczące dożywocia, które zapewniał Łucyi, były już dawniej sporządzone i przesłane przez pp. Plunkett do Paryża. Stanąwszy w Londynie napisał do matki, donosząc jej że znajduje się w Anglii; i zamierza przybyć do niej na parę dni. Mistress Andinnian odpowiedziała mu zaraz następną pocztą, prosząc aby nie przyjeżdżał do Foxwood, gdyż obecność jego mogłaby tylko *„doprowadzić ją do choroby“*. Jeśli tylko, dodawała, wolno jej było wzbraniać mu wstępu do jego własnego domu.

Cały ten list wydał się dziwnym Karolowi, a co więcej kazał wnosić że mistress Andinnian nie wie nic o przyszłem jego małżeństwie, dla tego też po głębokiem zastanowieniu nabrał przekonania, że powinien pojechać do Foxwood. Napisał więc powtórnie zapowiadając swe przybycie, i prosząc matki aby mu wybaczyła że przestępuje jej rozkazy.

Przyjechał do Foxwood około szóstej wieczorem. Był to ostatni dzień którym mógł rozporządzać, gdyż nazajutrz musiał wracać do Paryża.

Służąca otworzyła mu drzwi, a Hewitt wyszedł do niego z sali jadalnej, i otworzył szeroko oczy zobaczywszy swego pana.

— Sądzę że matka spodziewała się mego przybycia?

— Wątpię, sir Karolu. Dziś właśnie rano zaniosłem na stacyę telegram w którym mistress Andinnian prosiła o zaniechanie tego zamiaru, odpowiedział cicho Hewitt, otwierając drzwi do sali jadalnej.

Mistress Andinnian jadła właśnie obiad; nóż i widelec wypadły jej z ręki; zerwała się z krzesła rzucając na syna pełne gniewu spojrzenie. Była w żałobie, a z wyjątkiem wdowiego czepka, nawet po mężu nie nosiła tak grubej żałoby jak po swym ukochanym synu.

— Jak śmiałeś tu przyjechać pomimo wyraźnego zakazu przesłanego ci w telegramie?

— Nie odebrałem od ciebie, matko, żadnego telegramu.

— A jednak wysłałam go dziś rano do ciebie!

— Nie doszedł mnie. Całe rano biegałem za interesami, a następnie udałem się na kolej, nie wracając do hotelu.

Stał przed matką z wyciągniętą ku niej ręką; przez kilka chwil wpatrywała się w niego bystro, a następnie namyśliła się podać mu rękę.

— Stało się, rzekła: ale nie jestem dość silną abym mogła przyjmować gości. Hewitt, przynieś obiad dla sir Karola.

— Sądzę, kochana matko, że nie zaliczasz mnie do gości, rzekł z uśmiechem Karol, siadając na krześle które mu Hewitt podał, ale pomimo tego uśmiechu słowa matki dotknęły go boleśnie. Zresztą, zabawię tu krótko, dodał, bo muszę wyjechać jutro bardzo rano.

— Czem prędzej wyjedziesz tem będzie lepiej, odpowiedziała mistress Andinnian.

Karolowi przyszło na myśl pomimowolnie, że nie było to zbyt właściwe odezwanie się do kogoś przybywającego do swego domu.

Zadziwiło go także iż sam tylko Hewitt usługiwał do stołu i był zmuszony sam przynosić i wynosić talerze i półmiski. Korzystając z jego chwilowej nieobecności, zapytał matki, dla czego tak była przeciwną jego przybyciu do Foxwood.

— Już ci powiedziałam, rzekła, że mi szkodzi każde wzruszenie, i że nie mam siły przyjmować kogobądź, nie wyłączając i ciebie. Ciężkie znoszę udręczenia, Karolu.

— Chciałbym, droga matko, aby to było w mej mocy zmniejszyć twoje cierpienia.

— A tymczasem powiększasz je tylko... pomimowolnie, Karolu, jestem pewna że pomimowolnie.

Były to najuprzejmniejsze słowa jakie dotąd wyrzekła do syna. W ciągu dalszej rozmowy Karol domyślił się z niektórych słów matki że nie wiedziała nic o jego małżeństwie, uwiadomił więc ją o swych zamiarach, skoro tylko Hewitt po skończonym obiedzie pozostawił ich samych. Dowiedział się wtenczas że mistress Andinnian nie odebrała wcale listu który pisał do niej z Paryża, choć nie pojmował jak się to stać mogło, gdyż pamiętał dobrze iż kazał oddać go na pocztę numerowemu Montaigne, który zawsze sumiennie spełniał jego polecenia. Ale czy to pochodziło z winy posłańca czy z winy poczty, skutek był ten sam—list nie doszedł do miejsca swego przeznaczenia.

Mistress Andinnian zadrżała silnie dowiedziawszy się o blizkiem ożenieniu syna, co tem bardziej zadziwiło Karola, że zwykle okazywała się zimną i obojętną. Patrzyła długo na syna, a potem słuchała go w milczeniu, zapatrzona w ogień palący się na kominku.

— Chcesz się żenić! zawołała gdy przestał mówić. Żenić się!... gdy ciało twego brata zaledwie zastygło w grobie!... To być nie może, Karolu!

Wytłomaczył jej wtenczas dla czego ślub jego musi się odbyć niezwłocznie. Stan zdrowia Łucyi wymagał aby jak najśpieszniej udała się do Włoch, nie mógł więc przez poszanowanie dla pamięci brata, narażać narzeczonej na utratę życia.

Mistress Andinnian słuchała go w milczeniu, przedstawił jej więc następnie jaką rentę dożywotnią wyznaczył Łucyi na wypadek gdyby została wdową. Dał do zrozumienia matce w najdelikatniejszy sposób, że z powodu ich przedłużonego pobytu zagranicą, będzie mogła żyć spokojnie w Foxwood, a następnie nadmienił że jej zapewnił znaczny dochód dożywotni.

Nie odpowiedziała mu ani słowa. Nie pochwaliła jego rozporządzeń, ani też powstawała przeciwko nim, siedziała nieruchoma w fotelu, i wpatrywała się w ogień. Karol sądził że musi być bardzo na niego zagniewana.

Wstał pod pozorem że musi list napisać. Mistress Andinnian zadzwoniła i kazała Hewitt'owi przynieść atrament i papier. Skoro podano herbatę, rozmowa jej z synem ograniczała się do takich np. pytań: czy nie potrzebuje więcej cukru, i t. p. Po herbacie, zajęła znów miejsce w fotelu przy kominku, i zdawała się zostawać pod wpływem jakichś niepokojących myśli. Nagle wstała i zaczęła chodzić po pokoju, krokiem nierównym, przerywanym, jak ktoś dręczony niepewnością. Karol patrzył na nią z niezadowolnieniem i przykrością, sądząc że to wiadomość o jego małżeństwie doprowadziła ją do takiego rozdrażnienia. Wkrótce jednak zaczęła się domyślać że powodem tego są jakieś inne dokuczliwe myśli, nie mające żadnej styczności z nim i jego zamiarami. Parę słów wyrzeczonych pomimowolnie przez matkę, utwierdziło go w tem przekonaniu.

— Zdajesz się mieć jakieś nowe, nieznane mi zmartwienie, matko, gdyż nie przypuszczam aby w mojem postępowaniu było coś takiego, coby mogło przejąć cię takim niepokojem czy też obawą.

— Tak, Karolu, tak...

— Czemuż więc nie chcesz dozwolić abym podzielał twe troski i starał się zmniejszyć ich ciężar... jeźli to być może.

Mistress Andinnian usiadła na fotelu i odpowiedziała już spokojnie:

— Gdyby było w twej mocy przynieść mi jakąś ulgę, odkryłabym ci powód moich udręczeń, ale nic mi pomódz nie możesz... tak, nic zupełnie. Człowiek rodzi się aby cierpiał, a iskierka aby uleciała z wiatrem.

— Zdawało mi się że wiadomość o mojem małżeństwie sprawiła ci przykrość, i ta myśl była dla mnie bardzo bolesną.

— Moje udręczenia pochodzą z dotyczących mnie tylko powodów.

Karol nie mógł się domyślić coby to być mogło. Czynił różne przypuszczenia—jak tylko zwykle bywa w takim razie—ale odrzucał je natychmiast jako niepodobne do prawdy. Mistress Andinnian była zawsze samowolną i skrytą, a kobiety z podobnym charaktrem są skłonne do naśladowania śmiałej samodzielności męzkiej, a nie posiadając potrzebnej swobody działania, chwytają się często środków pociągających za sobą przykre następstwa. Karol obawiał się czy i tu nie zachodziło coś podobnego. Może długi? Nie, to nie zdawało się prawdopodobnem; nie przypominał sobie aby matka miała kiedyś usposobienie do rozrzutności, lub też znajdowała się w okolicznościach znaglających ją do większych wydatków; a zresztą, w takim razie udałaby się wprost do niego. Jednak to przypuszczenie nasuwało mu się ciągle na myśl, gdyż nie podpadało wątpliwości że wskazane mu przez nią powody, dla oddalenia go z Foxwood, nie były prawdziwe; a jakież mogłaby mieć inne kłopoty? Podniósł przypadkiem oczy wśród tych rozmyślań, i spostrzegł że mistress Andinnian wpatrywała się w niego badawczym wzrokiem.

— O czem że zamyśliłeś się tak głęboko, Karolu?

— Zadawałem sobie pytanie co może być powodem twych nowych udręczeń, matko.

— Nie łam sobie nad tem głowy; nie przyda się to na nic ani mnie, ani tobie. Gdyby mój odważny Adam żył jeszcze, powierzyłabym mu wszystko. Bo on miał odwagę Karolu, a ty jej nie posiadasz.

— Mylisz się, matko, czuję że mi nie brak odwagi, a w każdym razie potrafiłbym zdobyć się na nią tam gdzie idzie o twoje dobro.

— Ha! być może... ale nie zyskałabym nic na tem, a zresztą, nie żądałam nigdy od ciebie takiego przywiązania jakie mi okazywał mój biedny Adam, a nawet... nie życzyłam go sobie.

Widzimy że mistress Andinnian umiała przynajmniej być szczerą. Słowa jej zraniły boleśnie serce Karola, jakkolwiek nie pierwszy raz słyszał coś podobnego z ust matki. Po chwili milczenia zaczęła rozmawiać z synem o rzeczach obojętnych.

— Cóż się stało z Anną Hopley? zapytał Karol. Zdawała się bardzo przywiązaną do ciebie, droga matko, i sądziłem że zatrzymasz ją nadal przy sobie.

— Anna Hopley?... a! ta kobieta która służyła u mnie w czasie mego pobytu w Weymouth. Nie, nie zatrzymałam jej, przecież wiesz że miała męża.

O dziesiątej, mistress Andinnian odeszła życząc synowi dobrej nocy i szczęśliwej podróży, i Karol sam pozostał. Ubolewał nad tem że matka okazywała mu tak mało zaufania, ale wszakże zawsze tak było i prawdopodobnie zawsze tak będzie. Trafiały się chwile, w których—podobnie jak w obecnej zdawało mu się prawie że nie może być jego matką.

(D. c. n.)



Pl. 490.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.